W NUMERZE: Lipiec 1944 r. ● Gromadzić dokumenty ● Śmierć prawdziwego człowieka ● Chwila wspomnień ● Trwałe fakty ● Na barometrze kultury ● Suwałki, Konopnicka... ● O chłopskim pisarstwie Rzeszowszczyzny ● W pryzmacie lat ● Kłopoty nie tylko architektów ● Lubelskie okno na świat ● Kołatam do drzwi przymkniętych ● Ponidzie ● I in.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN – BIAŁYSTOK – KIELCE – RZESZÓW

LUBLIN

15.VII.1963

Nr 13 (275)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

PERSPEKTYWY REGIONU CZTERECH ZACOFANYCH

WINCENTY KAWALEC

NIE ulega wątpliwości, że do najbardziej zacofanych gospodarczo należały dotychczas 4 województwa, tworzące region południowo-wschodni kraju — białostockie, lubelskie, kieleckie i rzeszowskie. Mają one wiele cech wspólnych, stwarzających odpowiednią sieć powiązań społeczno-ekonomicznych.

Do najbardziej wyraźnych zaliczyłbym — 4 grupy cech podobnych:

■ Przeludnienie na wsi i duże nadwyżki siły roboczej. Na 1 km² przypadało na początku tego roku — w kieleckim 97 osób, w rzeszowskim 87 osób, lubelskim 76 i białostockim 50 osób.

Nadwyżki siły roboczej w każdym z tych województw są znaczne, a razem te 4 województwa mogą dostarczyć obecnie około 200 tysięcy rąk do pracy poza rolnictwem.

■ Charakter rolniczo-przemysłowy regionu. Na ogólną ilość około 6,5 miliona ludności, ludność wiejska stanowi około 5 milionów. Zatrudnienie w przemyśle łącznie wynosi około 385 tysięcy osób, w tym w kieleckim 140 tysięcy.

■ Rzadka sieć miast i zły stan wyposażenia miast w urządzenia komunalne. Charakteryzują się one największym w kraju zagęszczeniem ludności na 1 izbę, wynoszącym przeszło 2 ludzi, słabym wyposażeniem miast w wodę, gaz i komunikację miejską.

■ Wielkie tempo rozwoju zapoczątkowane zwłaszcza w ostatnich 3 latach, którego symbolami są: powstanie wielkiego okręgu siarkowego (6 tysięcy zatrudnionych), Puławy — 5 tysięcy zatrudnionych, wielka fabryka aparatury dla przemysłu chemicznego w Białymstoku (6 tysięcy zatrudnionych), a także powstanie wielkiej prasowni w Ostrowcu (4 tysiące zatrudnionych), wielkiej fabryki wytaczarek w Radomiu (5 tysięcy zatrudnionych), wielkich zakładów remontowych dla przemysłu koksochemicznego w Jędrzejowie (3 tysiące zatrudnionych).

„Polska B" — przekształca się w ostatnich 3 latach w region uprzemysłowiony w tempie dotychczas nie znanym. Nie jest przypadkiem, że politechniki powstają już obecnie w Rzeszowie i Białymstoku, a rozbudowuje się politechnika w Radomiu.

Co można powiedzieć o przyszłej 5-latce — 1966—1970? Osobiście jestem przekonany, że będzie to okres radykalnej zmiany w uprzemysłowieniu regionu. Do tak śmiałego twierdzenia upoważniają mnie 2 fakty:

■ Duże nadwyżki siły roboczej w regionie stwarzają odpowiednie podstawy do lokalizacji w regionie wielkich i średnich zakładów przemysłowych. Już obecnie można przewidywać, że w regionie zostanie zlokalizowanych około 60 nowych wielkich i średnich zakładów przemysłowych, co stanowić będzie prawie czwartą część

(Dokończenie na str. 5)

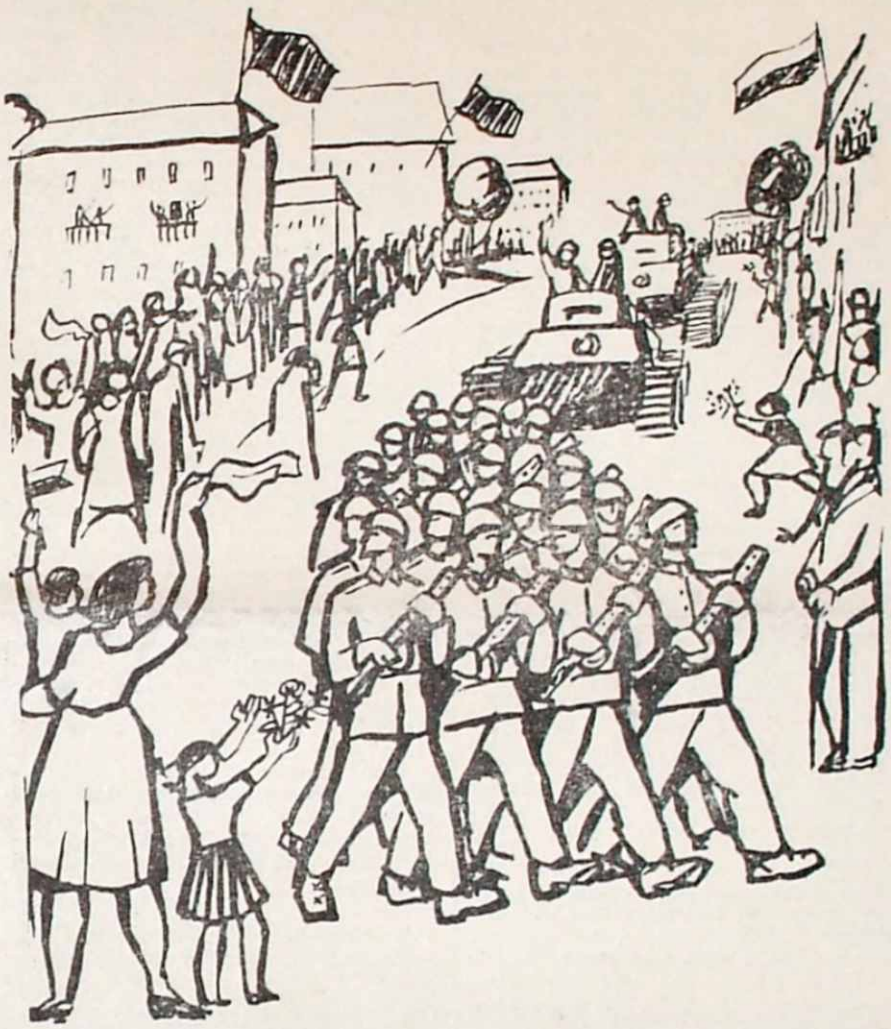

Rys. Eugeniusz Pol

WALKA O STYL

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

WALKA o określony styl kultury — to przede wszystkim organizacja i kierunek wyboru kulturowego. Jeśli walka o styl ma być zwycięska, wybór nie może być tylko rezultatem swobodnej decyzji woli. Decyduje o nim historyczny interes klasowy, kierunek walki klasowej danego czasu i miejsca. Uczestnika kultury i aktywnego-twórcę i biernego-odbiorcę określa historycznie zdeterminowane doświadczenie życiowe, społeczne, kulturalne. Styl kultury jest zwykle stylem epoki. Określa jego kierunek rozwojowy także wewnętrzna logika rozwoju danej sfery kultury. Potrzeby ideologiczne nie przemieniają swoistych spraw rozwoju danej dziedziny i całej kultury, rozstrzygają o wyborze określonych, odmiennych możliwości. Poszczególne dziedziny kultury funkcjonują przede wszystkim jako **systemy o swoistych związkach** i zależnościach elementów całości. Jeśli np. chce się oddziałać na system społeczny instytucji wypoczynku i w określony sposób ukształtować możliwości jego funkcjonowania, trzeba znać zasady tego systemu. Nie można ich łamać. Nie można np. dowolnie przykładać miar i reguł wypróbowanych przy oddziaływaniu na system instytucji politycznych danego społeczeństwa. Bo to są inne systemy, funkcjonują na innych zasadach. I ten sam cel ideowy w jednym i drugim wypadku winien być inaczej realizowany.

W walce o styl zaangażowane są przeto określone siły klasowe i siły zastanego systemu funkcjonowania kultury epoki, jej typu.

Wybór kulturowy nie jest procesem w pełni świadomym. Nie tylko ze względu na brak dość bogatej teoretycznej, historycznej i morfologicznej refleksji nad wyżej wymienionymi siłami. Ale przede wszystkim dlatego, że wszelka inicjatywa twórcza wzbogacająca i zmieniająca kulturę jest dostępna świadomości społecznej, gdy już funkcjonuje jako składnik tejże kultury. Nawet świadomość twórcy tylko w pewnej mierze jest zdolna do kontroli tej inicjatywy. Dlatego mówimy o spontanicznym charakterze twórczości.

Chodzi zatem o maksymalny wzrost świadomości zasad wyboru kulturowego, jego granic, granic zwłaszcza jego czysto woluntarnych możliwości. Z drugiej zaś strony chodzi o możliwie pełną świadomość ideowego kierunku tego wyboru. Gramsci zasady właściwego, prawidłowego wyboru nazywa **funkcjonalizmem.** Polega on w tym wypadku na odwołaniu się do kulturotwórczych, klasowych sił społecznych epoki. Wybór kulturowy ma odpowiadać historycznym potrzebom tych sił[1]. Zasada funkcjonalizmu, liczenia się z „zamówieniem społecznym" jest przeto ograniczeniem anarchicznej swobody we wszelkiej działalności kulturalnej. Posłuszeństwo wobec tych kryteriów jest „przymusem". „Istotą zagadnienia nie jest (jednak) przymus, lecz pytanie, czy w grę wchodzi autentyczny racjonalizm, rzeczywista funkcjonalność, czy akt wolnej woli..." Jest więc także problem przezwyciężenia woluntaryzmu, „widzimisię" w polityce kulturalnej, w sferze wyboru i twórcy, i organizatora, i odbiorcy. „Przymus" ów — i to najważniejsze — winien „rozwijać się zgodnie z rozwojem sił społecznych".

Istotny dylemat tak ważnego dla skutecznej walki o styl stosunku wyboru i wolności zawiera się w postulacie „autentycznej racjonalności" polityki kulturalnej, formułowanym przez Gramsci'ego.

Z jednej strony postawiliśmy sobie w Polsce po 1945 r. cele wynikające z leninowskiej teorii rewolucji kulturalnej i realizowaliśmy je w zasadzie konsekwentnie poprzez partyjną i państwową politykę kulturalną przez dwadzieścia lat. Zasady naszej polityki kulturalnej zmierzały do takiego wyboru, aby dominujące w rezultacie treści kulturowe pomagały budowie socjalizmu, przede wszystkim oddziaływały na przemiany świadomości mas, pomagały powstawaniu nowych hierarchii wartości związanych z nowymi socjalistycznymi stosunkami, im właściwymi modelami zachowań, postaw, motywacji, autorytetów.

(Dokończenie na str. 4)

ZYGMUNT MIKULSKI

Dzień pierwszy

Żołnierz drogą maszerował
i tęsknotę niósł w plecaku.
Z nim łączniczka: wieść lipcowa
zerwać z murów Bekanntmachung.

W ogniach, popłątanych drutach,
zaczynała się epoka.
Z tamtą pieśnią, której nuta
śpiewa tak, jak płynie Oka.

Chodził jasny blask po twarzach
i dzień mienił się złocisty.
Śmiesznie, bo jak kominiarza
lśniła w słońcu twarz czołgisty.

Czwórki szły z orkiestrą dętą,
Dojrzewała wolność w pieśniach.
Po raz pierwszy było święto
od pamiętnych dymów września.

W górę biegły światła chyże,
jak blask słońca w blaskach glorii.
A dzień wzniósł się jeszcze wyżej:
do wdzięczności i historii.

Lipiec 1944 roku

ZBIGNIEW J. HIRSZ

PRZYPOMNIJMY te fakty.

W miarę coraz większych sukcesów na froncie wschodnim Armii Czerwonej i Armii Polskiej pod dowództwem generała Z. Berlinga — na Ziemi Lubelskiej wzrastał terror okupanta. Wróg niszczył wsie, zamykał chłopów, robotników i inteligencję polską, przeprowadzał likwidację w więzieniach i obozach koncentracyjnych świadków zbrodni hitlerowskich.

W obronie gnębionej ludności stanęły oddziały Armii Ludowej, zbrojnej organizacji Krajowej Rady Narodowej. Na terenie Lubelszczyzny walka partyzancka utrudniała wrogom w dużym stopniu dostawę broni, amunicji, żywności na front, siły zbrojne AL likwidowały drobne grupy hitlerowców, toczyły boje z jednostkami frontowymi. Oddziały partyzanckie — Bolesława Kowalskiego („Cień"), Edwarda Gronczewskiego („Przepiórka"), Gustawa Alefa-Bolkowiaka („Bolek"), Pawła Niewinnego („Bartosz"), oddziały zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła", grupy dywersyjne pod dowództwem Bolesława Drabika-Klonowieckiego, Czesława Klima, szereg grup wypadowych i wiele innych prowadziły walkę na terenie całego województwa. Akcją zbrojną AL w tym czasie kierował dowódca II Obwodu Grzegorz Korczyński („Grzegorz").

Walczącym o wyzwolenie partyzantom polskim jak i radzieckim z pomocą przyszła Armia Czerwona: w drugiej połowie lipca 1944 r. wojska 1. Frontu Białoruskiego przystąpiły do działań zaczepnych na obszarze między Bugiem a Wisłą. 17—18 lipca rozpoczęła się tzw. operacja brzesko-lubelska. 25 lipca 2. armia pancerna osiągnęła Wisłę w rejonie Dęblin — Puławy.

Wspólna walka narodu polskiego, której kierownikiem była Polska Partia Robotnicza i Krajowa Rada Narodowa, oraz Armii Czerwonej i Armii Polskiej doprowadziła do wyzwolenia części ziem polskich. Już 21 lipca 1944 r. w pierwszym większym mieście, wolnym Chełmie, Krajowa Rada Narodowa powołała do życia Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego — jako tymczasową władzę wykonawczą. Utworzono kilka komisji do rozstrzygnięcia szeregu konkretnych spraw. Komisja, w skład której weszli m. in.: płk Marian Spychalski, Stefan Wierbłowski, Bolesław Drobner, opracowywała Manifest PKWN. W skład komisji wojskowej, której zadaniem było ustalenie zasady połączenia Armii Polskiej na terenie ZSRR i Armii Ludowej w kraju, weszli: płk Marian Spychalski, gen. Michał Rola-Żymierski i Jan Czechowski. Powołano komisję gospodarczą oraz komisję, której celem było opracowanie umowy z rządem radzieckim o sposobie ustalenia administracji polskiej na wyzwolonych terenach.

Pierwsze zebranie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego odbyło się w Chełmie, następnie nowa władza wykonawcza udała się do Lublina, w kilka godzin po przepędzeniu z miasta wroga.

„Do Lublina — pisze żołnierz 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki Zofia Bystrzycka — weszliśmy wieczorem. Ulice zaległy tłumy, porządku pilnowała nieoczekiwanie jakaś władza z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Grała orkiestra wojskowa, ludzie całowali się z żołnierzami, żołnierze i oficerowie oddawali te oznaki radości specjalnie, kiedy okazywane były przez młode i urodziwe lublinianki. Na ratuszu powiewał sztandar. Okna i balkony pełne były roześmianych twarzy i witających rąk. Wieczór zapadał szybko, szybko kończył się dzień, wypełniony radością" *.

Decyzją władz PKWN Lublin stał się stolicą Polski Ludowej. Na swą siedzibę pierwsza władza ludowa obrała budynek przy ul. Spokojnej (obecnie 22 Lipca).

22 lipca 1944 roku podczas gdy w pobliżu Lublina trwały walki z okupantem, PKWN ogłosił Manifest Lipcowy:

„Wybiła godzina odwetu na Niemcach za męki i cierpienia, za spalone wsie, za zburzone miasta, zniszczone kościoły i szkoły, za łapanki, obozy i rozstrzeliwania, za Oświęcim, Majdanek, Treblinkę, za wymordowanie getta.

Rodacy! Sojusznicza Armia Czerwona swym bohaterstwem i ofiarnością zadawała miażdżące ciosy Niemcom hitlerowskim. Armia Czerwona jako armia wyzwoleńcza wkroczyła do Polski. (...)

Chwytajcie za broń! Bijcie Niemców wszędzie, gdzie ich napotkacie! Atakujcie ich transporty, udzielajcie informacji, pomagajcie żołnierzom polskim i sowieckim! Na terenach wyzwolonych wypełniajcie karnie nakazy mobilizacyjne i spieszcie do szeregów Wojska Polskiego, które pomści klęskę wrześniową i wraz z armiami Narodów Sprzymierzonych zgotuje Niemcom nowy Grunwald."

23 lipca, w Chełmie, Manifest Lipcowy PKWN ukazał się drukiem w pierwszym numerze „Rzeczypospolitej". Manifest stanowił program Państwa Ludowego, był zbiorem zagadnień publicznych sformułowanych w duchu demokracji, postępu i sprawiedliwości. W wolnej Lubelszczyźnie rozpoczął się drugi okres ciężkiej pracy — budowy państwowości ludowej. PKWN władzę swą sprawował poprzez rady narodowe — wojewódzkie, powiatowe, miejskie i gminne.

* Zofia Bystrzycka: „A zaczęło się tak..." Ze zbioru „W stołecznym Lublinie", Lublin, LSW 1959.

(Dokończenie na str. 9)

GROMADZIĆ DOKUMENTY EPOKI

WALDEMAR BABINICZ

I

NIE starczy szpalt „Kameny", aby wyliczyć wszystkie przemiany, jakie zaszły na świecie w ciągu dziewiętnastu lat. Najśmielsi naukowcy XIX w. nie przewidywali tych olbrzymich sukcesów, jakimi świat zadziwiła nauka na przestrzeni ostatnich lat kilkunastu. I tylko socjologowie amerykańscy typu E. A. Hooton, Madison Grant i H. F. Osborn, reprezentanci rasistowskiego kierunku w socjologii amerykańskiej, nie byliby zaskoczeni. Od czasu, gdy dostarczali oni monopolistom amerykańskim „cennych" argumentów w swoich publikacjach, upłynęło wiele dziesiątek lat, czarnoskórzy piloci pod gwiaździstą flagą bronili honoru i wolności narodu amerykańskiego, na polach walki wszystkich kontynentów legli czarni żołnierze w obronie *free country*, czarnoskórzy amerykańscy uczeni, pisarze, działacze kultury, wynalazcy przysporzyli niemało sławy Stanom Zjednoczonym, a jednak problem rasistowski ciągle jeszcze jest żywy w USA, a prezydent Kennedy, usiłując z jednej strony ratować prestiż państwa w oczach opinii światowej, zmuszony jest z drugiej strony uciekać się do środków zgoła niedemokratycznych, pragnąc „uspokoić" krnąbrnego gubernatora Alabamy.

Jeszcze ostrzejszy charakter ma dyskryminacja rasowa w Południowej Afryce, gdzie rząd ucieka się do środków zaczerpniętych z arsenału Inkwizycji, gdzie w getcie murzyńskim mieszka laureat nagrody Nobla, odizolowany od świata drakońskimi prawami ustalonymi przez rząd, którego przedstawiciel poucza z trybuny ONZ o „kompletnym barbarzyństwie Murzynów przed najazdem białych".

W jakim klimacie mogą być rozpowszechniane idee i poglądy uwłaczające godności ludzkiej? W jakiej atmosferze mogą działać jednostki, które po obaleniu hitleryzmu i zoologicznej ideologii, znajdują popleczników w szerzeniu nienawiści rasowej? Jak mogą uczeni w tych krajach pracować w imię godności i dla dobra człowieka, jeśli na progu uczelni, przybytku nauki, z której padają wzniosłe słowa, zgraja zbirów nie dopuszcza do słuchania wykładów ludzi o innym kolorze skóry?

Mamy prawo stawiać takie pytania, my, Polacy, których kraj był terenem walki rasistowskiej. Znamy bezpośrednio wszystkie odmiany fanatyzmu, obskurantyzmu, segregacji rasowej.

II

Jesteśmy dziś jednym z najbardziej postępowych narodów w świecie, a przecież wiemy, że przeobrażenia, które zaszły w mentalności przeciętnego mieszkańca naszego kraju, zawdzięczamy przede wszystkim klimatowi, jaki stworzony został po ogłoszeniu historycznego Manifestu PKWN.

Przed kilkunastu dniami byliśmy świadkiem olbrzymiej manifestacji na rzecz... książki współczesnej. W manifestacji uczestniczyło kilkanaście tysięcy osób, młodzież, starsi, robotnicy, chłopi, inteligencja ciągnęła tłumnie na pola michałowskie pod Starachowicami, aby dać wyraz swojej sympatii do literatury współczesnej, aby uczestniczyć w spotkaniach z pisarzami, aby w ciągu kilku godzin ogołocić do ostatniego egzemplarza gęsto poutykane książkami stoiska Domu Książki. Może i byłby to fakt o wyjątkowym znaczeniu, gdyby nie okoliczność, że w tym samym dniu, o tej samej godzinie odbywały się procesje w związku ze świętem Bożego Ciała.

Jeszcze przed kilkunastu, ba przed kilkoma laty taki objaw był nie do pomyślenia. Sądzę, że należy o nim głośno *urbi et orbi* mówić. To jest bowiem sukces naszej polityki, to jest widomy znak naszych czasów. Książka naukowa, popularno-naukowa, beletrystyczna coraz częściej dociera do człowieka, który nie tak dawno jeszcze nie ośmielał się nawet w myślach podważać uświęconych dogmatów.

Szybkość przemian w umysłach ludzi jest zaskakująca. Wzrastająca dojrzałość, rozsądek, świadomość wczorajszych pariasów, „zbędnych obywateli" zamieszkałych na terenach Polski „B", wywołuje podziw odwiedzających nas coraz chętniej cudzoziemców, zdumiewa socjologów i innych uczonych.

Nieskwapliwie działają jednak przedstawiciele innych dyscyplin naukowych, jeśli chodzi zwłaszcza o ocenę ostatnich naszych dziejów i ogłoszonych historycznych dokumentów. Jaki inny dokument ogłoszony w historii naszego kraju porównać można z Manifestem PKWN, Uniwersał Połaniecki, Manifesty Rządów Narodowych, a jeszcze wcześniej konstytucje, które zapowiadały, obiecywały, pisane były bardziej dla przyszłości, niż „na użytek i dla dobra współobywateli".

Owszem, szukając genealogii naszej myśli współczesnej, chętnie nawiązujemy do wszystkich postępowych tradycji, staramy się uzasadnić tezę, iż jest ona logiczną konsekwencją tamtych nurtów, że wyrosła z ideologii walczącej, twórczych inicjatyw Kołłątaja i Staszica, Jakuba Jasińskiego i Piotra Ściegiennego, Dembowskiego, Traugutta, Warynskiego.

III

Ale historyk szukający źródeł i przyczynków do tamtej epoki znajduje nierzadko w archiwach akt dawnych znacznie więcej materiałów, cennych dokumentów, przypisów, niż np. uczony, który wyciąga rękę po rękopisy, by skontrolować czy podawane ustnie wiadomości naocznych świadków o atmosferze towarzyszącej powstaniu najważniejszego dokumentu naszej epoki, Manifestu PKWN, odpowiadają istotnej prawdzie.

Co się działo w Chełmie w lipcu 1944 r., czym żyła ludność tego miasta, co odczuwali mieszkańcy Lublina, gdy w mieście tym osiedlił się Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego?

Wynotowaliśmy z tego okresu czasu garść osobistych wspomnień, trochę wzruszających opowieści, kilkanaście anegdot. Czy mamy bodaj tyle materiałów, które przechowały się z epoki Jakuba Jasińskiego? Z satysfakcją, ze szlachetnym patosem recytuje dziś młody człowiek wiersz polskiego jakubina:

Ludwik zginął, tak chciała krajowa [ustawa.
Żałujemy go jak człeka,
[lecz szanujmy prawa.
Daj Boże, by ten przykład
[przez mocne urabia
Oszczędził nam potrzebę
[jego powtarzania.
Lecz, jeśli ich poprawić
[i ten nie jest zdolny
Mówmy: niech zginą króle,
[a świat będzie wolny.

(Dokończenie na str. 9)

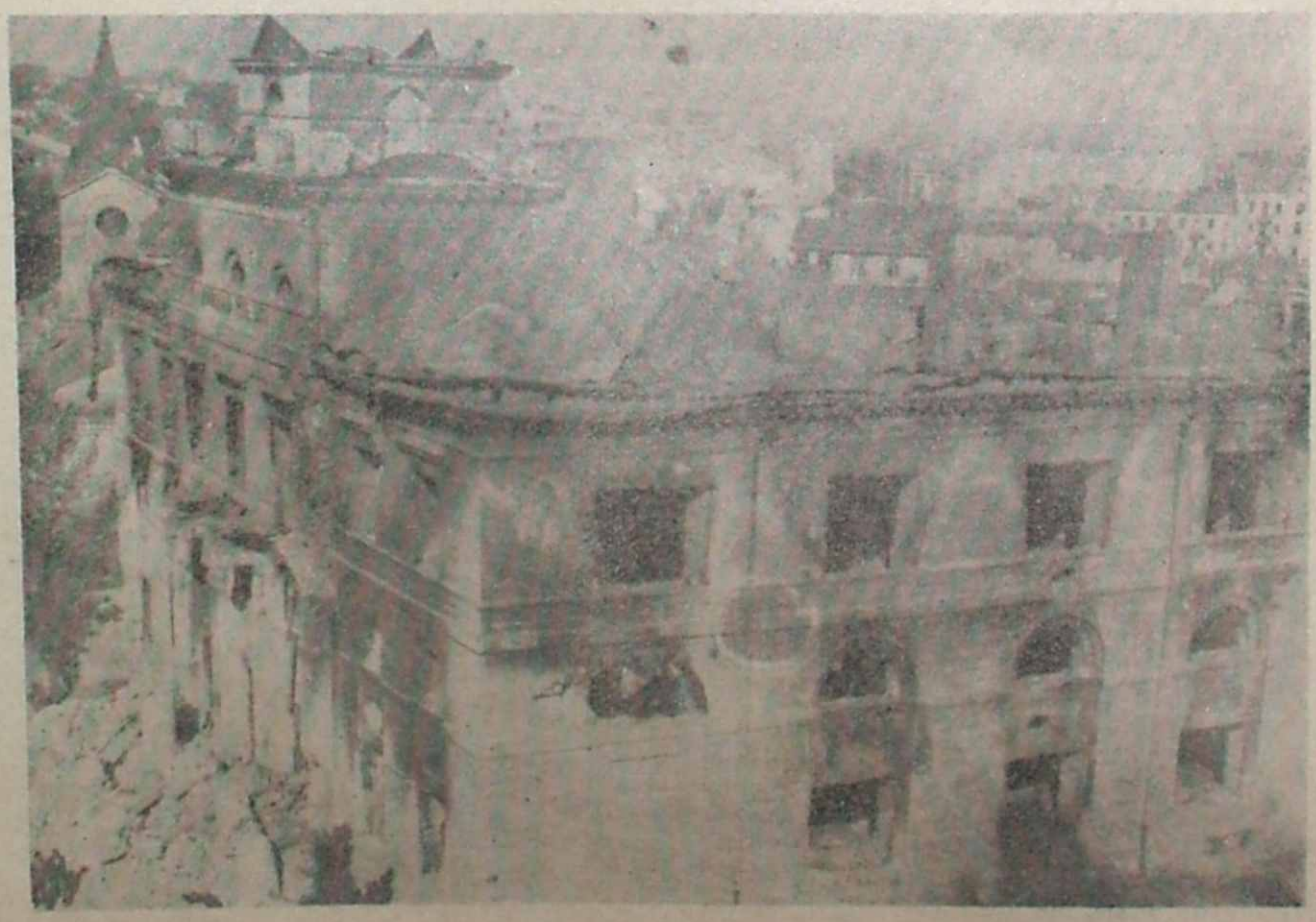

Lublin w 1944 roku.

Śmierć prawdziwego człowieka

DOMINIK HORODYŃSKI

NIE brakuje tematów do felietonu, który ma opowiadać o tym, co dzieje się na świecie. W ciągu ostatniego miesiąca kosmonautyka radziecka skoncentrowała na sobie uwagę opinii międzynarodowej, na Bliskim Wschodzie Kurdowie stawiają bohaterski opór wojskom Iraku, które obłędny fanatyzm partii Baas pchnął do bratobójczej walki, trwa dyskusja między KPZR a Komunistyczną Partią Chin, prezydent Kennedy odbył swą podróż europejską nie rozwiązawszy sprzeczności, jakie dzielą mocarstwa zachodnie, konserwatyści angielscy płacą słony rachunek za poniżającą aferę Profumo. Jest o czym pisać, lato 1963 r. nie przyniosło sezonu ogórkowego.

A jednak chciałbym tym razem oderwać się od aktualności politycznych, by wspomnieć człowieka, który zakończył życie kilka już tygodni temu, 28 maja, skrytobójczo zamordowany na ulicach Aten. Należał on do gatunku ludzi niezwykłych, takich, których się pamięta, bo życiem swym stwarzają pewien wzorzec postępowania przydający godności nam wszystkim, ludziom zwyczajnym. Zresztą Gregorios Lambrakis uważał się za człowieka zwyczajnego, nie czuł się namaszczony czy powołany do „celów wyższych", jak tylu pyszałków, których każdy z nas spotyka na swej drodze. Wysoko ponad innych wyniosła go nie śmierć tylko, lecz przede wszystkim sposób pojmowania przezeń obowiązków ludzkich.

Kibice sportowi starszej generacji pamiętają zapewne nazwisko Lambrakisa, młodszym przypomnieć wypada tę sensacyjną karierę biegacza sprzed 30 blisko lat. Otóż w czasie międzynarodowych zawodów sportowych rozgrywanych pod Olimpią zgłosił się do organizatorów młody pasterz owiec z gór Peloponezu prosząc, by dopuszczono go do udziału w biegu na 100 metrów. Początkowo wyśmiano go, ale chłopiec był uparty i wreszcie, dla świętego spokoju, pozwolono mu stanąć na starcie obok biegaczy i pobiec poza konkursem. Biegł boso i w tym pierwszym wyścigu w życiu pobił krajowy rekord na setkę. Z miejsca stał się sławny, wszedł do drużyny narodowej, na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 r. reprezentował barwy Grecji.

Sława sportowa umożliwiła Lambrakisowi zdobycie środków na kształcenie się. W nauce okazał się równie wybitny jak na bieżni: został profesorem akademii medycznej w Atenach, dyrektorem szpitala, autorem prac naukowych o światowym rozgłosie. Czyż nie mógł być zadowolony z siebie? — Dzieciństwo wiejskiego pasterza, młodość sławnego biegacza, wiek męski — szczyty nauki, imię znane w kraju i na świecie, szacunek obywateli, pieniądze. Iluż to młodych ludzi marzy o takiej karierze, iluż osiągnąwszy znacznie mniej strzeże swej zdobyczy z zachłannością molierowskiego skąpca!

Lambrakis mógł być o siebie spokojny. Wiedział, że zachowa szacunek ludzki, jeżeli poświęcać się będzie tylko medycynie, tylko swym pacjentom i nauce. Dobrowolnie, bezinteresownie zaryzykował wszystko i zginął jako bojownik polityczny. Po diabła mu to było? — powie może niejeden i wzruszy ramionami. Myślę, że wielkość tego człowieka polega również na tym, iż zmusił swą śmiercią wielu ludzi do zastanowienia się, skąd się biorą takie jak on osobniki, zdolne dla swych przekonań poświęcić wszystko. Skąd się biorą nie kiedyś tam, w czasach wielkich przełomów, lecz dziś w 1963 roku i nie gdzieś daleko, lecz tu, w Europie.

Lambrakis, bezpartyjny lekarz, zdobył mandat poselski i związał się z EDA — skrajną lewicą. Rozpoczął kampanię w parlamencie na rzecz uwolnienia więźniów politycznych trzymanych dotychczas — przez 20 blisko lat — w więzieniach greckich za udział w lewicowym ruchu oporu przeciwko Niemcom oraz za uczestnictwo w organizacjach lewicowych w okresie powojennym. Lambrakis stał się też jednym z organizatorów greckiego ruchu w obronie pokoju.

A Grecja — jeden z najpiękniejszych krajów świata — od wielu już lat wyróżnia się szczególnymi warunkami politycznymi. Posiada brutalnie reakcyjny rząd popierający skrajnie prawicowe ruchy typu faszystowskiego. Ultrasi greccy kilkakrotnie publicznie zapowiadali, że Lambrakis zostanie zamordowany. Jeden z ich posłów niejaki Papadopulos, który w okresie wojny nosił mundur niemiecki, wołał w parlamencie: „Lambrakis — ty zginiesz!" Władze były po stronie grożących, przeciwko zagrożonemu.

Grecja jest monarchią. Królowa Fryderyka, bardzo elegancka pani, odmówiła przyjęcia Lambrakisa, gdy ten, na kilka dni przed swą śmiercią, zgłosił się do niej z prośbą o interwencję na rzecz więźniów politycznych. Dała do zrozumienia, że taki „komunista" nie zasługuje na zaszczyt rozmowy z królową, a więźniowie... więźniowie powinni siedzieć w więzieniach.

28 maja — w pełni świadomy zagrożenia, w jakim się znajduje — Lambrakis wziął udział w zebraniu „Unii na rzecz Pokoju i Rozbrojenia Atomowego", ruchu związanego z analogiczną organizacją w Anglii, której duchem jest stary filozof Bertrand Russell. — Gdy wychodził z zebrania napadnięty został przez bojówkę. Prof. Lambrakis zmarł po paru godzinach nie odzyskawszy przytomności.

Śmierć jego stała się jedną z przyczyn upadku rządu Karamanlisa. Jeżeli kryzys polityczny w Grecji się zaostrzy, zajmiemy się tym krajem osobno.

Dzisiaj chciałem tylko przypomnieć, kim był Lambrakis, ów człowiek, który uważał, że od najpiękniejszej kariery ważniejsza jest obrona praw ludzkich. Nawet od tak szlachetnej kariery, jaka jest związana z powołaniem lekarza.

Rok 1944 — Wkroczenie wojsk polskich do Lublina.

Chwila wspomnień płk Kazimierza Kwolika

ZDJĘCIE to nie raz ukazywało się w gazetach. Widziałem je na wszystkich planszach i fotomontażach sporządzanych z okazji rocznic Odrodzenia Polski. Marzyłem o spotkaniu z człowiekiem, który na czele swojego oddziału defilował 22 lipca 1944 r. na ulicach Lublina. Czy pamięta te czasy? Co najbardziej utkwiło mu w pamięci? Los zetknął mnie z nim kilka tygodni temu w Akademii Sztabu Generalnego. Płk. Kazimierz Kwolik średniego wzrostu, korpulentny mężczyzna, o bujnej czuprynie i łagodnym spojrzeniu przyjął mnie w swoim gabinecie.

— Słuchałem pańskich wspomnień, którymi dzielił się pan z oficerami i żołnierzami na akademii z okazji XX-lecia Wojska Polskiego. Najbardziej mile wspominał pan przyjęcie zgotowane dla żołnierzy przez mieszkańców Lublina...

— ...nawet po osiemnastu latach nie mogę tego zapomnieć i mówić o tym zupełnie spokojnie. Była to eksplozja entuzjazmu, serdeczności.

— Ale zanim domaszerował pan w szeregach i mundurze wojska polskiego do Lublina przeżył pan chyba nie jedną chwilę wzruszeń. Czy zechciałby pan odtworzyć, przywołać do pamięci te momenty? W jakich okolicznościach zetknął się pan z wojskiem?

— Kto w owych czasach nie myślał o chwyceniu za broń?! W chwili wybuchu wojny miałem dziewiętnaście lat. Znalazłem się na terenach Związku Radzieckiego. Harcerstwo i lata gimnazjalne zaszczepiły we mnie umiłowanie ojczyzny, poczucie obowiązku obrony jej suwerenności i niepodległości. I kiedy dowiedziałem się o tworzeniu zrębów ludowego wojska polskiego w Związku Radzieckim, serce mocniej zabiło. Byliśmy przecież ludźmi, których ojczyzna została wymazana z politycznej mapy Europy. A tu mówią o wojsku polskim, dadzą nam broń, pozwolą walczyć o rzecz najdroższą dla każdego Polaka. 9 maja zostałem wcielony do I Dywizji WP im. T. Kościuszki w Sielcach nad Oką. Byliśmy zdumieni sprawną organizacją, pomocą, życzliwością radzieckich przyjaciół. Rozpoczęło się szkolenie, normalne wojskowe życie: apele, ćwiczenia, wykłady, dyskusje. Tam, na tym niewielkim skrawku radzieckiej ziemi odżyła w naszych żołnierskich sercach Polska. Na maszcie biało-czerwona flaga, na dużym czerwonym tle biały orzeł, polskie piosenki, książki, broszury. Tam mówiono o Polsce silnej, niepodległej, demokratycznej. W obozie panował wzorowy porządek, każdy czuł na swych barkach ciężar odpowiedzialności. Sami trzymaliśmy się w ryzach dyscypliny. Było i tak, że w tym samym plutonie służył ojciec i syn, sypiali na łóżkach obok siebie, obsługiwali jeden RKM lub CKM.

— Uroczystym dniem w życiu żołnierza jest dzień przysięgi. Pamięta pan dzień swojej przysięgi wojskowej?

— Oczywiście. O tym chciałem koniecznie panu opowiedzieć. Na polance zebrała się cała dywizja, 10 tysięcy żołnierzy. Był to 15 dzień lipca. Piękny, słoneczny dzień. Na uroczystość zjechało wielu gości, ze Związku Radzieckiego i z zagranicy: dziennikarze, dyplomaci, działacze społeczni i kulturalni. Białoczerwona flaga wędruje na maszt, rozlegają się dźwięki Mazurka Dąbrowskiego, słowa przysięgi. W kolumnach słychać było szlochanie, szmer wzruszenia. Po przysiędze: szkolenie, szkolenie i szkolenie. Później dywizja wyruszyła na front, a ja zostałem w „podchorążówce". Po jej ukończeniu „złapałem" dywizję w Smoleńsku i jako dowódca plutonu rusznic przeciwpancernych rozpocząłem swój marsz na Berlin. Ciężki, wyczerpujący marsz.

— Ale świadomość, że najeźdźca bezlitośnie depcze ojczystą ziemię dodawała wam siły, hartowała nerwy. Co odczuwa człowiek w momencie postawienia nogi na ojczystej ziemi?

— Niewiele czasu ma się na wojnie na rozmyślania. Świadomość świdruje myśl: co oni tutaj robią, usunąć, przepędzić jak najszybciej! Myśl tę podbudowało w nas przyjęcie mieszkańców Lubelszczyzny. Od Chełma do Lublina drogi były przepełnione ludnością. Wszyscy wyszli nas witać. Częstowano nas chlebem, goszczono mlekiem, obdarzano serdecznością. Naprawdę, nie zapomnę tego. A defilada na głównej ulicy Lublina — Krakowskim Przedmieściu to chwila...

Mój rozmówca szukał jakiegoś najtrafniejszego określenia, oddającego nastrój, atmosferę tych kilkunastu minut marszu wzdłuż szpalerów ludności, później wstał od stołu, podszedł do okna, otarł chusteczką oczy.

— Proszę pana tego nie można opowiedzieć. Oczy chwytały każdy gest rodaka-cywila, wrażliwość rejestrowała każdy skurcz mięśni na policzkach. Skąd tu tyle ludzi, że kolumny ledwie — ledwie mogą posuwać się naprzód. Okrzyki, pieśni, owacje, cukierki, czekolada, chleb, kwiaty. Każda kolumna podobna była raczej do ruchomego kobierca kwiatów, niż do oddziału spieszącego za nieprzyjacielem. Opodal trybuny stało o kulach trzech mężczyzn, w żołnierskich mundurach. Pamiętam ich zamglone łzami oczy zdające się mówić: „pomścijcie koledzy, na pewno pomścicie". Ulica płakała, wiwatowała z radości na naszą cześć, ale my myśleliśmy już tylko o pościgu za wrogiem.

— Równo rok przed Waszym wkroczeniem do Lublina, jako sześcioletni chłopiec, wraz z rodzicami przebywałem w obozie na Majdanku...

— Słyszeliśmy o koszmarach życia więźniów w obozach: oświęcimskim, na Majdanku i w Treblince. W czasie defilady na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie oglądaliśmy skutki bestialstw i zbrodniczości okupanta. Niedaleko od trybuny, po drugiej stronie ulicy ułożono zwłoki kilku więźniów zamordowanych w obozie na Majdanku. Koszmarny widok. Nie powracajmy do tych wspomnień.

— A więc, po defiladzie zaczął się normalny tok frontowego życia?

— Życia? Kto wtedy myślał o życiu! Pożegnaliśmy Lublin i w pościgu za nieprzyjacielem rozwinęliśmy kolumny w kierunku na Dęblin. Mieliśmy forsować Wisłę. Najtrudniejsze do wykonania zadanie bojowe, utrudnione dodatkowo przez wylew rzeki. Woda zalewała okopy, nieprzyjacielskie szrapnele raniły żołnierzy. Forsowanie nie powiodło się. Zginął wówczas mój serdeczny kolega por. Jakubowski, który mawiał do mnie: „na Marszałkowskiej będę pierwszy". W sierpniu przerzuceni zostaliśmy w rejon Góry Kalwarii. Tam podjęliśmy drugą próbę forsowania Wisły. Na środku rzeki była duża wyspa. Jeden z jej przyczółków przechwyciła 7 kampania naszego pułku i przez 5 dni dzielnie broniła się przed atakami niemieckimi. Noc była bezchmurna, ciepła. Lustro

(Dokończenie na str. 16)

WALKA O STYL

(Dokończenie ze str. 1)

Polityka ta miała swoje sukcesy i niepowodzenia, osiągnięcia i błędy. Czego uczy jej doświadczenie w sprawie najważniejszych warunków koniecznej autentyczności naszej, jak postulowano wyżej, racjonalnej polityki kulturalnej?

Po pierwsze, jak sądzę, że skuteczna polityka kulturalna walcząca o styl kulturowy nie może zakładać, iż buduje na pustym miejscu. Że może przesuwać żywe nurty kulturalne tak dowolnie jak meble w niezamieszkanym pokoju. Polityka kulturalna musi nawiązywać do aktualnych, spontanicznych dążeń twórczych. Jeśli polityka kulturalna spełnia oba warunki funkcjonalizmu według Gramsci'ego, jeśli zatem cechuje ją autentyczna racjonalność i zgodność z rozwojem sił społecznych, to właśnie spontaniczne siły twórcze zrodzone z historycznych, klasowych doświadczeń określonej części społeczeństwa same wydadzą rezultaty bliskie postulatom owej racjonalnej polityki. Nie ma tu mowy o jakiejś mistycznej zgodności. Po prostu te same siły społeczne, te same dążenia klasowe kształtują świadomość kulturalną wyrażoną w zasadach i wytycznych polityki kulturalnej i kształtują obiektywny sens społeczny, realną funkcję tworzonych wartości. Wtedy zresztą, gdy mamy ową zasadniczą zgodność twórczości związanej z określonymi klasami i ruchami masowymi i polityki formułowanej i realizowanej przez określone, zorganizowane instytucje, te ostatnie istotnie mają oparcie w owych ruchach masowych. Są wyrazem świadomości ideowej i woli owych mas. W procesie zmian kulturowych występują czynniki świadomego wyboru i spontanicznej twórczości. Ex post możliwa jest (też nie zawsze pełna) racjonalizacja udziału tego drugiego czynnika. Osiągalne jest przeto pogłębianie i poszerzanie wpływu świadomego, ideowego wyboru. Również jednak nie będzie on w danym czasie i miejscu nieograniczony.

W Polsce przeżycie doświadczeń wojny z faszyzmem, okupacji, ruchu wyzwoleńczego, przeżycie doświadczeń rewolucyjnych przemian gospodarczych i społecznych po 1945 r. przez emancypujące się masy ludowe i w ogóle postępowe siły społeczne znalazło określony wyraz w twórczości kulturalnej tego czasu. Polityka kulturalna Partii i Państwa nawiązała do tych procesów.

Dla przykładu: po 1945 polityka kulturalna nie narzucała literaturze jakiegoś swego modelu realizmu. A przeciwnie śmiało akceptowała nowatorskie modele, spontanicznie kształtowane na fali wyliczonych doświadczeń. Oddziaływała natomiast na dalszy rozwój, dojrzewanie ideowe wybranych nurtów twórczych. Ta awangarda ideowa i artystyczna, wyrażająca przeżycia i postawy ludzi zaangażowanych w postęp owego czasu była realną, mocną podstawą owej polityki. Zaczęła ta ostatnia tracić tę mocną podstawę, gdy w latach pięćdziesiątych, wbrew autentycznej racjonalności, przeciwstawiała ideowo kierowanemu procesowi rozwoju spontanicznych dążeń, własne, sztuczne, wymyślone schematy, sztywne recepty i wzorce jakiegoś innego realizmu, który miał być bardziej socjalistyczny, aniżeli rodzący się z rzeczywistych doświadczeń ludzi zaangażowanych w jego budowanie i z ideowych wpływów Partii, kierującej tym budowaniem [2].

I znów po 1956 nawrót do podstawowych zasad tużpowojennej polityki kulturalnej umożliwił np. przezwyciężenie stosunkowo szybko niesocjalistycznych tendencji w tzw. literaturze obrachunkowej.

W tym też okresie zwyciężać zaczyna zasada racjonalizacji wyboru kulturalnego poprzez empiryczne badania społeczne. Zostaje przeprowadzona zasadnicza krytyka tendencji socjotechnicznych w socjologii, tendencji określających wybór ideowy i planowanie społeczne na długą metę jako wieszczbiarstwo, a głoszących zasadę planowania inżynierskiego na krótką metę w sprawach społecznych. Planowania, które nie dąży do rewolucyjnych przemian instytucji społecznych, ale do „ulepszania" instytucji istniejących. Ten postulat zaś zakładał nie walkę z przemocą klas panujących, ale „poprawianie" ustroju w służbie tych klas, bez zmian zasadniczych. Ta kampania przeciwko oddzielaniu rzekomo czystej nauki od ideologii uzbroiła naszą humanistykę do krytycznego wykorzystania wszystkich metod i technik empirycznych badań społecznych, do oparcia ich na marksizmie uwolnionym z pęt dogmatyzmu. W latach sześćdziesiątych rozwój tych badań empirycznych osiąga wyniki tyle konkretne, że zaczyna oddziaływać na życie społeczne; na politykę kulturalną. Przykładem może być to coraz intensywniejsze wykorzystywanie wskazań socjologii i psychologii w przemyśle, poczynaniach urbanistycznych itp. [3].

Błędy naszej polityki kulturalnej osłabiły lub nawet likwidowały jej skuteczność, powroty do autentycznej racjonalizacji intensyfikowały jej rezultaty. Ale walka o styl naszej kultury toczyła się mimo perypetii polityki kulturalnej. Decydował o tym nacisk dojrzewających sił społecznych, potrzeb ludzkich, decydował wysiłek twórców. Ten nie zawsze był ideowo ukierunkowany. Ale walka ideologiczna o socjalistyczny styl kultury była w minionym dwudziestoleciu procesem ciągłym, którego rozwój oddziaływał na twórców. Zresztą nasza polityka kulturalna i w okresie lekceważenia reguł autentycznej racjonalności kierowała się przecież tymi samymi zasadniczymi celami i zasadami socjalistycznego wyboru, według wielkich podstawowych podziałów ideologicznych. Dziś, gdy patrzymy na ową walkę o styl socjalistyczny z perspektywy historycznej omal dwudziestu lat nowego okresu rozwoju kultury w Polsce, dostrzegamy, że toczyła się ona w ramach procesu kształtowania typu kultury masowej, zdemokratyzowanej dzięki ogólnorewolucyjnym przemianom społecznym i gospodarczym.

Stefan Żółkiewski

1 A. Gramsci, Pisma wybrane, II, str. 200—201.

2 Omawiam te problemy historycznie i szczegółowo w studium „Polityka kulturalna PPR w latach 1945-48" w książce: „Przepowiednie i wspomnienia", zwłaszcza str. 315—360.

3 Trudno jest cytować pełną literaturę tej wieloletniej polemiki. Dla przykładu odsyłam do książek: Z. Baumana, „Z zagadnień współczesnej socjologii amerykańskiej", Warszawa 1961; Wł. Wesołowskiego, „Studia z socjologii klas i warstw społecznych", Warszawa 1962; J. Wiatra „Szkice o materializmie historycznym i socjologii", Warszawa 1962. O podstawowej opozycji socjotechniki i ideologii pisałem w „Kulturze i polityce", Warszawa 1958, str. 369—394.

4 Np. w 1963 r. odbyła się narada działaczy państwowych i badaczy naukowych różnych specjalności na temat problematyki barwy, jej zastosowań i funkcji w przemyśle, budownictwie, komunikacji. Narada przygotowała projekty odpowiednich uchwał KERM.

TRWAŁE FAKTY

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

BYŁO to w jednej z malowniczo położonych miejscowości południowej Polski, ściągającej latem zwłaszcza tysiące turystów — ludzi żądnych godziwego odpoczynku, zakochanych w pięknych krajobrazach, zielonych i górzystych. Takich, które bardzo są typowe dla tej części Rzeszowszczyzny. Wspomnianego lata w okolicznych wsiach otwarto nowe placówki kulturalne, pachnące świeżością remontów, olejną farbą i terpentyną. Było naprawdę uroczo. Ale następnego roku niektóre spośród tych placówek już właściwie nie istniały, bo prowadziły bądź to żywot zgoła rachityczny, bądź też były w ogóle zamknięte na klucz. Było jak w owej dziewiętnastowiecznej powieści, na której stronicach bohater poszukuje swej przeszłości pośród znajomego mu krajobrazu, lecz nijak nie może jej odnaleźć. Mieszkańcy bowiem jego rodzinnej wsi stali się tymczasem starzy, nieznośni, zrezygnowani. Inni. Nie ci sami.

Inne, nie te same, były więc wrażenia po następnym pobycie w uroczej Rzeszowszczyźnie...

W zupełnie innej części Polski, pełnej starych pokrzyżackich zamków, bogatej w zabytki i jeziora, miejscowy teatr wystąpił ze świetnym pomysłem: będziemy — powiedziano w tym teatrze — robili co rok, latem właśnie — spektakle wielkich sztuk klasycznych, narodowych i obcych. Jak powiedzieli, tak i zrobili. Rozbrzmiały zamkowe podworce gwarem ludzkim, rozbrzmiały muzyką, napełniły się swądem zapalonych pochodni. Uderzono w gong. „Kto tu?" — zapytał Bernardo, wchodząc na zamkowy taras. — „Ty wpierw odpowiedz! Stój i podaj hasło!" — zareplikował mu gniewnie Francisco.

I tak się zaczęło. Zapamiętajmy to sobie: zaczęło się. Dalszy ciąg bowiem już nie nastąpił. Następnego bowiem lata żaden duński, polski ani inny królewicz nie rozważał ogólnoludzkich problemów na zamkowym dziedzińcu. Ee — usłyszałem w owym teatrze — napracowaliśmy się, namęczyli i co z tego?

Nie wiem oczywiście, co miało z tego być. Wiem natomiast z całą pewnością, że miejscowa ludność przeżywa poważne rozczarowanie. Jest do dziś zdania — i oczywiście słusznie — że została nabrana. Po co było obiecywać, że się będzie przyjeżdżało regularnie, każdego lata, że może w przyszłości impreza przybierze jeszcze szersze ramy, solidniejsze kształty i nabierze znaczenia jako inny niż zwykle, bardziej efektowny, bo w naturalnej oprawie plastycznej odbywający się spektakl.

To jest nieszczęście numer jeden naszego życia kulturalnego. Przykłady można, niestety, mnożyć. Dodać jeszcze z Polski wschodniej i zachodniej, z ośrodków znanych mało, mniej i najmniej. Okaże się, że na każdym niemal kroku spotykamy się z nietrwałością poszczególnych przedsięwzięć, z rwaniem się ciągłości, z zaczynaniem znowu i znowu od początku. Jeśli ktoś z Was nie odczuwa jeszcze groźby takich faktów, niech wyobrazi sobie dom zbudowany w części, z pustymi okno-dołami, z krzewami cisnącymi się do środka. Jakże smutny widok przedstawia sobą taka zapomniana budowla. Jesteśmy pewni, że stało się tu coś tragicznie złego, że oto zabrakło budowniczych. Zabrakło ludzi, którzy chcieli tworzyć.

Gdy zabraknie człowieka, który chce tworzyć, przerywa się nić ciągłości. Ciągłość naszego życia kulturalnego rwała się niejednokrotnie i wskutek braku cierpliwości terenowych działaczy, miejscowej władzy, i wskutek tu i ówdzie niedostatecznie dobrych warunków dla realizowania poszczególnych pomysłów, cennych, słusznych inicjatyw.

Nie wszędzie jeszcze terenowe władze zrozumiały, że każda uśmiercona inicjatywa, pomysł, który w efekcie miał inaugurować jakąś stałą sensowną działalność, miłą powtarzającą się np. co roku imprezę, a skończył się na bardziej lub mniej szumnej inauguracji — że to wszystko podrywa zaufanie społeczeństwa do trwałości naszych przedsięwzięć w dziedzinie życia społeczno-kulturalnego. Jeśli nie ma właściwych warunków na to, by — powiedzmy sobie — wybudować filharmonię w jakimś mieście, to się tej filharmonii nie buduje. Ale skoro się ją już raz wybudowało, to trzeba ze wszystkich społecznych i indywidualnych sił dbać o pomyślny rozkwit placówki, o jej oddziaływanie na społeczeństwo, o upowszechnienie kultury muzycznej. Właśnie tak, jak to się dzieje w Bydgoszczy, gdzie Filharmonia im. Ignacego Paderewskiego — inwestycja przed kilku laty przyjmowana przez niektórych jako niepotrzebna, bo zbyt wielka, przewyższająca miejscowe zapotrzebowanie na liczbę miejsc w sali koncertowej — okazała się nie tylko nie za duża, lecz wręcz... niewystarczająca. Coraz bardziej niewystarczająca, gdyż tymczasem — właśnie dzięki znakomitej działalności artystycznej i upowszechnieniowej nowo otwartej instytucji — wzrosła kultura muzyczna społeczeństwa bydgoskiego, jego zapotrzebowanie na Chopina i Mozarta, Schuberta i Czajkowskiego, Brittena i Lutosławskiego.

Jeśli jednak w uroczym dolnośląskim miasteczku Kłodzko odbyła się w zeszłym roku tak miła impreza jak Poetycka Wiosna, która w sumie zostawiła przyjemne wrażenie i na pewno wpłynęła na podniesienie rangi kulturalnej tej przepięknej, pachnącej górskim powietrzem ziemi, to chyba można się dziwić miejscowym władzom, że zaczęły kręcić nosem, szukać dziury w całym i przebąkiwać, że ta cała wiosna jest niepotrzebna, bo to w gruncie rzeczy nie wiadomo co i nie wiadomo po co.

Jeśli „nie wiadomo co", to chyba trzeba przede wszystkim spytać miejscowe władze, dlaczego nie wiadomo co. Wydaje mi się jednak, że od owej imprezy, której na imię Poetycka Wiosna żądano po prostu w Kłodzku nie wiadomo czego. I stąd rozczarowania. I stąd zjawisko na zasadzie „buchnęło, zagrzmiało i zgasło" Poetyckie wiosny, pełne piękna i młodości, są właśnie takie jak wiosna: urocze, ale i zielone zarazem. Zielone, więc świeże, ale i nie dojrzałe jeszcze. Trzeba zatem ożywczego słońca, trzeba czasu, nade wszystko zaś trzeba pielęgnacji, więc życzliwości. Przykładanie zaś gotowych etykietek jest tu jak najbardziej mylące. Zostawmy etykietki na butelkach z czerwoną główką. Tam będą na miejscu. Tu zaś chodzi o to, by wydarzenia kulturalne o charakterze regionalnym, czy lokalnym, zrodzone jako owoc miejscowej lokalnej inicjatywy, owoc, który dojrzał w ciepłym życzliwym klimacie, były wspólną troską działaczy społecznych, terenowej władzy państwowej, a także wszystkich tych organizacji, instytucji i środowisk, które są jakoś odpowiedzialne — jeśli nie służbowo, to przynajmniej moralnie — za upowszechnienie kultury w naszym kraju, za podnoszenie rangi określonych miast, miasteczek, ziem.

Nade wszystko chodzi o to, by poprzez te wydarzenia i w ogóle poprzez terenową działalność kulturalną powstawało w Polsce to, co zwykliśmy nazywać trwałymi faktami. Na powstawanie trwałych faktów liczą dziś u nas centralne czynniki kierujące całokształtem polityki kulturalnej państwa, na trwałe fakty kulturalne czeka wszędzie, we wszystkich stronach Polski, odbiorca.

Kształtowaniu się trwałych faktów służy i służyć winien społeczny ruch kulturalny, którego głównym i zasadniczym celem, całym sensem istnienia, jest właśnie uatrakcyjnianie i unowocześnianie życia zakątków Polski, podnoszenie ich rangi, znaczenia w kraju, walka przeciwko Clochemerle. Powiesiłem sobie nad biurkiem, wpinając go w abstrakcyjnie wzorzystą tkaninę znaczek, który otrzymałem z Tarnowskich Gór. Znaczek okolicznościowy, wydany w związku z Dniami tego miasta, organizowanymi co roku dzięki staraniom towarzystwa jego miłośników. Równocześnie jednak wiadomo, że w niejednej miejscowości Dni, czy najpiękniejszy dzień, czy też jakiś jubileusz odbyte jeden raz przypominają w połowie tylko wybudowany i następnie opuszczony dom. Na wszelkie uroczystości miasteczka czyszczą się niczym panny na randki. To pewne. Przyjmują przybyszów gościnnie, prezentują świeże elewacje, witają kwiatami w rękach urodziwych mieszkanek i w gęsto założonych gazonach. Nowe tynki zmyje z czasem deszcz, odmucha wiatr, kwiaty zwiędną i przypadną do ziemi...

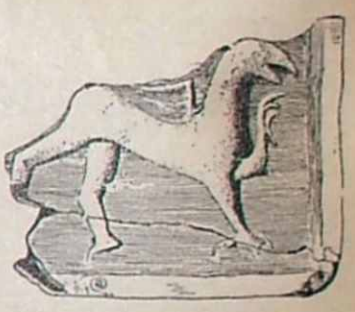

Zaapelujmy więc do społecznego ruchu kulturalnego, do setek stowarzyszeń lokalnych i regionalnych, do towarzystw miłośników miast, miasteczek, regionów, do klubów, by zjednoczyły wysiłki w pracy nad powstawaniem trwałych faktów w życiu kulturalnym naszego społeczeństwa.

IGNACY
IGOŃ GĄSIOROWSKI

13 stycznia 1943 roku w Rozkoszówce

(Z cyklu: „Cień nad Zamościem")

Zapalał świt spłoszone drzewa
iskrami szronu,
gdy u drzwi chat zadudnił strach.

A potem wlekli wieś wygonem.
Jak nikiel dzwonił śniegu piach.
Sad łamiąc dłonie śpiewał.

Gdzie dwuramienny bierwion krzyk,
czarnym pierścieniem ich otoczą
na postój — ucztę śmierci.

Sadźcie tam jutro gaj brzozowy.
Zaszumią liście — łzy...
Zbudujcie w gaju dom dla dzieci,
którym słoneczny gość opowie
baśń o Kapturku...

O, gdybym kiedy dożył dni,
by gościem była moja córka.

Dziesiątka

Ironia Dekalogu. Nie zabijaj.

Ale uśmiercaj brakiem przestrzeni
i ciepła.
O Hekubie mówiono, że z rozpaczy
wyje.
I pocieszał ją wieków chór. Hekube.
Nie płacz.

A tu? Niemy krzyk matek i starców.
Nie chroni ich żaden mur Troi...
Tu Polifem przychodzi na harce.
I wołanie. Dzieci, dzieci moje!

Tysiączne mrowie w mrocznych
ścianach
bez drzwi i okien. Woń kloaki.
Tu z ramion matek co dzień rano
biały wóz śmierci przed barakiem
wyrywa płowe słoneczniki.

POGLĄDY I PRZEGLĄDY

NA BAROMETRZE KULTURY

JERZY GEMBICKI

JEST coś w powietrzu! Szumi trochę w kawiarniach, mnożą się — jak to zwykle bywa — również plotki: jedna pani drugiej pani... Rzecz jasna nie jest to objaw powszechny, nie ogarnia całej Polski i wszystkich środowisk. Jest to mikroklimat, atmosfera kółeczek, towarzyska impreza zazwyczaj niedocenionych, nieodkrytych, zawiedzionych, sfrustrowanych, zapomnianych, zgorzkniałych itp. Nie należy jednak beztrosko bagatelizować tych nastrojów i nastroików. Na pewno przeczucia nie mylą naszych kawiarnianych proroków. Coś jest w powietrzu! Coś się dzieje! Tak. Na pewno coś się dzieje. Niepokoje czekających na Godota mają swoje potwierdzenie w faktach. W faktach społecznych i kulturalnych. Właśnie ta ostatnia dziedzina — kultura — pozostawia zawsze wiele pola do rozlicznych spekulacji i manifestacji. Uważniejsi czytelnicy prasy społeczno-literackiej, jeśli sami nawet nie są bezpośrednimi obserwatorami konkretnych faktów w naszym życiu kulturalnym, dostrzegają wyraźne przesunięcia w traktowaniu pewnych problemów, które jakoś długo dyskretnie przemilczano i omijano. Na plan pierwszy wysunęła się sprawa socjalistycznej kultury masowej (cały numer poświęcił temu tematowi kwartalnik „Kultura i Społeczeństwo"), pełno publikacji o literaturze rozrywkowej, teatrze telewizyjnym, piosence polskiej, Matysiakach itd. Problematyka ta, rzecz oczywista, nie wyskoczyła z dnia na dzień. Nikt jej nie wydumał z braku innych zagadnień. Postawiło ją życie, wyrosła ona z rzeczywistego gruntu potrzeb, z ogólnego podłoża dokonywającej się w Polsce rewolucji kulturalnej.

Te sprawy sygnalizowaliśmy już dawniej na łamach „Kameny", podejmując tematykę związaną z rozwojem środków masowego przekazu, ze stałym procesem przeobrażeń cywilizacyjno - urbanizacyjnych w naszym kraju. I oto kiedy profesorowie i pisarze, działacze kulturalni i publicyści łączą swoje wysiłki, aby upowszechniać kulturę, — kulturę literacką, plastyczną, muzyczną, widowiskową itp. — w pewnych kołach powstaje nagle wielkie zamieszanie i mistyczny niepokój, z którego rodzi się fałszywy obraz tego, co jest oczywiste i co kształtowało się już od dawna. Jeśli w orbicie zainteresowań znalazł się ostrzej zarysowany problem związania twórczości i ruchów artystycznych ze współczesnością naszego kraju, jeśli występuje jasno sformułowany pogląd o zaangażowaniu się pisarzy i artystów w budowę socjalizmu, wśród pięknoduchów i snobów szerzyć się poczyna małostkowa, koteryjna fala niezadowolenia, grymasów i teatralnych gestów. Odgrzewa się stare sprawy, przy kawiarnianych stolikach krążą znów duchy przeszłości, zaszczepione są stare lęki, odbywają się wróżenia z fusów. Jeśli czarno na białym poddaje się krytyce metniactwa i bzdury przyjmowane z Zachodu, jeśli burzy się mity pewnych podrzędnych przejawów burżuazyjnej kultury, powstaje od razu przeświadczenie, że w ogóle przekreśla się dorobek twórczy Zachodu, że w ogóle likwiduje się dopływ istotnych wartości, jakie przecież w krajach Zachodu istnieją i z których nie mamy zamiaru rezygnować.

Niestety, ci, co tak boją się utracić choćby jedną antypowieść, czy jeden kryminał w technikolorze, są zazwyczaj obojętni na niełatwe drogi, jakimi kroczy nasza twórczość narodowa, nie pojmują zupełnie, jakie współzależności zachodzą między pracą pisarza czy reżysera, dramaturga czy malarza, a ogólnym procesem **całego życia społecznego w naszym kraju.** Nie kierują swojej uwagi na procesy ideowe i polityczne, problemy gospodarcze, cywilizacyjne, **nie widzą miejsca, w jakim znajduje się Polska w procesie budowy socjalizmu w stosunku do innych krajów naszego obozu. Nie biorą do serca naszych opóźnień na tej drodze i naszych wysiłków, aby te opóźnienia nadrobić.**

Dopiero bowiem pełne uwzględnienie kontekstu naszego życia pozwala zrozumieć, jak śmieszne i anachroniczne stają się biadania tych, co czują się zagrożeni w swoich swobodach, w swoich nawykach myślowych, w swoich snobistycznych poglądach na sztukę i kulturę. Nie rozumieją oni, że centralnym zagadnieniem dla twórczości jest **obywatelska świadomość rzeczywistych procesów dokonujących się w Polsce i na świecie** i że decydująca jest sprawa postawy wobec tych procesów, a nie sama formalna strona środków wyrazu, które zawsze są prawem osobistych dyspozycji i talentu twórcy. Jest już chyba truizmem, że każdy autentyczny artysta podważa stare kanony estetyczne, ale też niewątpliwą prawdą jest, że starych pojęć, zużytych i zwietrzałych treści nie odświeży żaden czysto formalistyczny zabieg. Takie postępowanie zawsze w końcu obraca się przeciwko twórcy.

(Dokończenie ze str. 1)

wszystkich zakładów przemysłowych w skali kraju.

Nie trzeba tu podkreślać, że przemysł jest czynnikiem miastotwórczym w najbardziej klasycznej postaci, że na 1 zatrudnionego w przemyśle przypada średnio 3 członków rodziny bezpośrednio tworzących zaplecze miejskie itp. Nie trzeba też podkreślać, że wraz z rozwojem przemysłu powstawać muszą urządzenia socjalno-kulturalne, drogi, komunikacja i wszystko to — co wpływa na rozwój gospodarczy.

■ Region posiada korzystne i nie wykorzystane zasoby surowcowe. Dotyczy to głównie kieleckiego i rzeszowskiego. Oprócz siarki i gazu ziemnego, które stworzą podstawy rozwoju przemysłu chemicznego i szklarskiego, rozwijany będzie przemysł materiałów budowlanych w oparciu o złoża wapieni w kieleckim i lubelskim, kwarcytów i marmurów w kieleckim. Szeroko wykorzystana też będzie bogata baza gipsów w rejonie Pińczowa i Buska. Wydaje się, że również w przyszłym planie 5-letnim rozwinie się nowy okręg przemysłowy w białostockim w oparciu o rudy żelaza.

W pracach nad regionalizacją kraju bierze się pod uwagę utworzenie ścisłego regionu ekonomicznego obejmującego 3 z 4 województw. Będzie to region utworzony z kieleckiego, rzeszowskiego i lubelskiego. Białostockie powinno być złączone pod tym względem z olsztyńskim. Jest to zresztą sprawa dyskusyjna. Nie ulega jednak wątpliwości, że region kielecko-lubelsko-rzeszowski powstanie, gdyż wiążą go silnie 3 czynniki: Wisła, siarka i gaz.

Wszystkie te czynniki nie są nowe. Będą one jednak po nowemu wykorzystywane.

Prace nad użeglowieniem Wisły trwać będą 15—20 lat i pochłoną wiele miliardów zł. Wisła będzie magnesem ściągającym przemysł. Mogę zaryzykować twierdzenie, że w przeciągu 15—20 lat wszystkie miejscowości nad Wisłą leżące, a głównie Szczucin, Sandomierz, Kozienice, Puławy, Dęblin stanowić będą wielkie ośrodki przemysłowe.

Rozwinie się tu przemysł chemiczny przede wszystkim, który potrzebuje dużo wody. W pobliżu Puław musi powstać sieć zakładów chemicznych kooperujących z puławskim kolosem. Sandomiersko-tarnobrzeska siarka też będzie potrzebować kilku zakładów

PERSPEKTYWY regionu czterech zacofanych

przetwórczych siarki. Gaz ziemny jest tym bogactwem, które coraz szerzej będzie wykorzystywane dla lokalizacji zakładów przemysłowych opierających swą produkcję o złoża gazu. Dotyczy to przede wszystkim hut szkła i przemysłu szklarskiego. Bliskość piasków uzyskiwanych z kopalni siarki i stosunkowo niewielkie odległości od zagłębia węglowego krakowskiego pozwalają twierdzić, że okręg sandomiersko-tarnobrzeski aż po Leżajsk będzie przyszłym centrum przemysłu szklarskiego. Rozważania na temat przyszłości regionu są dla ludności regionu interesujące i będą jeszcze w „Kamenie" szczegółowo omawiane. Co się wyłania w zakresie współpracy 4 województw już obecnie?

Do najpilniejszych zadań 4 województw zaliczyłbym opracowanie i realizowanie następujących 5 problemów:

■ Organizacja zaplecza inwestycyjnego, kadrowego i eksploatacyjnego dla zakładów azotowych w Puławach. Chodzi tu głównie o wspólne zlokalizowanie zakładów i baz materiałów budowlanych na okres budowy kombinatu i zaplecza mieszkaniowego, a także o lokalizację zakładów kooperujących z kombinatem. Pilną sprawą jest wspólne opracowanie planu rekrutacji ludzi dla kombinatu, zabezpieczenie ich przewozu przez PKS i kolej.

■ Opracowanie projektów lokalizacji zakładów przemysłowych opartych o surowce z kombinatu w Puławach i ściśle z kombinatem współpracujących. Będą to nie tylko zakłady przemysłu kluczowego, ale i terenowego.

■ Opracowanie planów kompleksowego zagospodarowania całego okręgu siarkowego, obejmującego teren od Sandomierza, Tarnobrzega aż po Chmielnik i Szydłów.

Chodzi nie tylko o lokalizację nowych kopalni siarki (oprócz Piaseczna), ale o zaplanowanie rozwoju całych powiatów lub ich części na terenie siarkowym i powiatów sąsiednich.

Należy również opracować plan wykorzystania surowców odpadowych w produkcji siarki i przy kopaniu rudy siarki oraz lokalizację zakładów przetwórczych.

Ważne tu będzie opracowanie sieci dróg kołowych i kolejowych, wobec bardzo słabej sieci dróg w rejonie siarkowym.

■ Wobec dużej dysproporcji między wielkością surowców rolniczych w regionie, a mocą produkcyjną zakładów przetwórczych, należy opracować wspólny plan wykorzystania surowców na miejscu. Np. w województwie lubelskim średnia odległość wywozu żywca wynosi około 400 km i angażuje około 20 tysięcy wagonów rocznie.

Należy opracować plan lokalizacji zakładów mięsnych i zakładów przetwórstwa rolnego, zwłaszcza w lubelskim, w oparciu o szczegółowe bilanse podstawowych produktów rolnych.

■ O wykorzystaniu Wisły mówi się już długo. Brak jednak dotychczas kompleksowego planu wykorzystania Wisły. W ramach współpracy 4 województw powinien być opracowany jeden kompleksowy plan obejmujący plany uregulowania Wisły, plany budowy urządzeń przeciwpowodziowych, przejść przez Wisłę wzajemnie uzgodnionych, a wynikających z powiązań funkcjonalnych i komunikacyjnych.

Równocześnie powinien być opracowany plan rolniczego wykorzystania terenów przywiślańskich.

Wskazane przeze mnie problemy wymagają studiów i badań w szerokim zakresie. Są one jednak konieczne. Oprócz tego jest wiele spraw wymagających bezpośredniej, operatywnej działalności, wynikających z codziennego biegu życia.

Współpraca województw to przede wszystkim współpraca rad narodowych, ich prezydiów, komisji i poszczególnych ogniw aparatu fachowego. Wielką rolę mają tu do spełnienia wojewódzkie komisje planowania gospodarczego, urbaniści, rolnicy itp.

Powinny się też wytwarzać bezpośrednie kontakty zakładów przemysłowych, wyższych uczelni, organizacji społecznych, kulturalnych itp.

Nie można powiedzieć, że tej współpracy nie ma. Przeciwnie. Wydaje mi się, że w ramach tej współpracy zrobiono wiele, zwłaszcza na odcinku kultury. Sądzę jednak, że te możliwości są znacznie większe. Brak również szerzej podjętych prac kompleksowych.

Lubelskie Naukowe Towarzystwo Organizacji i Kierownictwa zorganizowało w czerwcu br. w Lublinie wielką konferencję naukową w zakresie doświadczeń 4 województw w sprawach koordynacji terenowej. Była to pierwsza naukowa konferencja tego typu w kraju. Ambitne zamierzenia regionu, nie dysponującego żadną wyższą szkołą typu ekonomicznego, zrealizowane w sposób niezwykle pożyteczny, są przykładem dobrej, konkretnej współpracy regionu.

Oprócz współpracy województw należy rozwijać różne formy współpracy międzypowiatowej, zwłaszcza powiatów graniczących z różnych województw. Granice administracyjne nie mogą tu być przeszkodą w rozwiązywaniu wielu problemów międzypowiatowych.

Zwłaszcza będą to problemy melioracji, drogowe, linii kolejowych, rejonów szkolnych, rejonów szpitalnych, hurtowni, przedsiębiorstw budowlanych, rekrutacji siły roboczej, usług kulturalnych i wielu innych.

Wydaje mi się, że taka współpraca powiatów jest jeszcze bardziej pilna i pożyteczna niż województw. Przykładem może być tu region siarkowy — gdzie współpraca powiatu sandomierskiego, staszowskiego, tarnobrzeskiego, mieleckiego, kraśnickiego i janowskiego zarysowuje się coraz wyraźniej.

Ta pozytywna współpraca winna jak najszybciej zastąpić dotychczasowe nieporozumienia czy zawiści.

*

W tym krótkim artykule wspomniałem tylko o współpracy na odcinku gospodarczym. Osobnym wielkim problemem jest współpraca na odcinku kulturalnym. Jest ona na szczęście częściej omawiana. Stoimy wobec rozpoczynających się prac nad planem 1966—1970. Prace rozpoczną się już od września br. Jest to bardzo korzystny okres do wykorzystania wszelkich powiązań międzywojewódzkich.

Wincenty Kawalec

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

Szczęście

zakręciłem papiloty
na swej szczeciniastej głowie
postawiłem
krzesło na tapczanie
przywiązałem sznurek
od klamki do obrazu
na stole
narysowałem dowcip
węglem wyjętym z pieca
sikałem ze śmiechu
rysując
przez pomyłkę
powiesiłem siebie w przedpokoju
po namyśle zdjąłem strzępałem
i schowałem do szafy
zakręciłem
postawiłem
narysowałem
powiesiłem
weszłaś

moje szczęście
że wisiałem w szafie

Listy o poezji (23)

Suwałki, Konopnicka i myśli nad Wigrami

ANNA KAMIEŃSKA

Pomnik Marii Konopnickiej w Suwałkach

I wiosna przyjdzie i kwiat rozwinie,
A z moich oczu nigdy nie zginie
Bezbrzeżne, białe pole...
(Konopnicka)

TEN list piszę z Suwałk. Wielki prostokąt rynku i wokoło niskie domki, na ogół stare, niezniszczone. Park z Matką Boską i kościoły z jednej i z drugiej strony. Przy głównej ulicy — dom, w którym 101 lat temu urodziła się Maria Wasiłowska w rodzinie sędziego miejscowej prokuratorii. W tym domu schody i poręcze z ciemnego drzewa są na pewno te same, których dotykały ręce ówczesnych mieszkańców sprzed stu lat. Za domem wszystko już zbiega do rzeki, do Czarnej Hańczy, gdzie biegała również mała Marysia i gdzie śledziła jak zaczarowana krzyże i światełka pogrzebów na suwalskich mogiłkach za rzeką. Potem wyjechali z Suwałk. Miała wówczas siedem lat. Niewiele chyba zapamiętała z rodzinnego miasta. Tylko rzeka, mogiłki i te poruszające się tajemnicze światełka. Wspomnienia pierwszego dzieciństwa, tak ważne dla kształtowania się wyobraźni poety — utrwaliły właśnie te mroczne, cmentarne obrazy rzutując romantyczny cień na jej twórczość poetycką. Bo Maria Wasiłowska to późniejsza poetka — Konopnicka.

Ale wracajmy jeszcze do Suwałk, już nie tych sprzed stu lat, ale dzisiejszych anno 1963. Kilka tygodni temu na centralnym placu Suwałk stało targowisko. Wryło się tam od dziesiątków lat kramami i budami jarmacznymi. Nabiał, jarzyny i ciuchy, wiele śmiecia, kotłowaniny i nieporządku nie dodającego miastu ani uroku ani powagi. Dziś przyjeżdżający do Suwałk zapamięta co innego — wielki, zazieleniony plac i jasna kamienna postać, wysoko na tle pionowych topoli. Konopnicka na nowo odkrytym pomniku jest bardzo młoda. W nieregularnej twarzy obok powagi mieści się sporo zalotnego wdzięku. Twarz wymodelowana najdokładniej. Postać poetki i sylwetka małego chłopca, którego poetka trzyma za ramię wsiąka w kamień umownymi zarysami. Autorem rzeźby jest Bohdan Chmielewski.

W jednej niemal chwili zamienić targowisko na pomnik poetki — nie, to nie dzieje się tak prosto. Trzeba by opowiedzieć o trudach, zabiegach i staraniach Towarzystwa im. Konopnickiej, o pośpiechu, o udziale i pomocy młodzieży i nauczycielstwa, o zrozumiałym sprzeciwie handlujących, którym targ przesunięto za miasto („i to dla kogo, dla tej żony Dzierżyńskiego!”). Wreszcie — uroczystość otwarcia nowo zbudowanej w Suwałkach powiatowej biblioteki, goście z Warszawy i z Białegostoku, przemówienia, kiedy chcąc nie chcąc trzeba coś powiedzieć o poezji, triumf Towarzystwa im. Konopnickiej, które do wszystkiego doprowadziło, szanowne, siwiejące głowy gospodarzy województwa i powiatu — pochylone przed kobietą-poetką. Wieczorem — piękny pokaz Zespołu Pieśni i Tańca (kostiumy szyto podobno dzień i noc przed występem), znakomita reżyseria i tempo, nieoczekiwanie świetne elementy filmowe — krajobraz ziemi suwalskiej w tle zbiorowego tańca, wtopione w całość recytacje wierszy Konopnickiej. Wreszcie, aby już wyliczyć sumę uroczystości — pochód dzieci przebranych za postaci z książek Marii Konopnickiej. Z tego ostatniego zapamiętałam przede wszystkim idące obok dzieci — postacie i twarze nauczycielek. To one się napracowały, to one przeżywały to wszystko, one przygotowywały umysły. Teraz idą skromnie, jakby tylko dla dozoru i opieki, idą na boku, szare przy barwnym korowodzie i zmęczone. To dla nich wszystkie oklaski i okrzyki.

Tak było w Suwałkach. Pomnik od razu wrósł w obraz i w życie miasta. „Ładna ta nasza Marysia” — mówią już kobiety śpieszące na targ poza miasto.

Więc co jeszcze? Więc trzeba pobłądzić po suwalskich mogiłkach. To już nie te same. Cmentarz mahometański — zniszczony, żydowski — zrównany z ziemią, prawosławny — opustoszały. Pop w pustej cerkiewce podnosi ręce. Albo zanurzyć ręce w Czarnej Hańczy. I rzeka nie ta sama.

Suwałki przeżyły swoje wielkie dni i wracają do normalnego toku życia, trochę sennego i handlowo-szkolnego miasta w malowniczej oprawie historii (to tu prof. Antoni Patla odkrył ten rewelacyjny cmentarz Jadźwingów!) i krajobrazu (jezioro Wigry jest tuż tuż, tylko dojechać nie najłatwiej przez gęsty las). Już nowa biblioteka szumi normalnym życiem i ruchem, bez którego nie ma krwiobiegu kultury.

A my zamyślamy się nad falą wspaniałego jeziora wigierskiego (czy to nazwa jaćwieska, panie profesorze Patla?) nad problemem Konopnickiej w Suwałkach, nad problemem tradycji poetyckiej.

Och, dla wielu z nas, zwłaszcza młodych poetów, nie jest to już żaden problem. Wyrzucamy za burtę. Sentymentalizm, post-romantyzm, bogoojczyźniane rozmazanie — nie widzimy nic innego w postaci poetki, która nie wiadomo dlaczego ma ten mir w narodzie i to swoje Towarzystwo im. Konopnickiej. Czy dlatego, że ma za mało jeszcze sławy, że trzeba ją szerzyć? Nie. Mało jest poetów tak zakorzenionych i wrosłych w kulturę szerokich rzesz. Świadczy o tym nawet wyskok tego chłopaka, który po akademii w Suwałkach wyrwał się, aby wyrecytować z pamięci wiersz Konopnickiej. Sądził, że uczone wywody naukowego referatu za mało uczciły poetkę.

W całkowitej negacji, w wyniesionej ze szkoły niechęci do Konopnickiej — jest w ogóle nasz jaśniepański stosunek do tradycji poetyckiej. Nie ma pełnego wydania dzieł poetki (jak i wielu innych poetów z Norwidem na czele, przecież przedwojenne wydanie Czubka jest niepełne i nieukończone). Pełnego wydania nie ma, są tylko wybory, do znudzenia powtarzające schemat twórczości poetki urobiony przez jednostronne jej widzenie. Nieznajomość pełnej twórczości przy jednoczesnym geście lekceważenia i dezaprobaty — to właśnie my. To właśnie nasza kultura przerywana i posiekana nie tylko datami wojen i rozbiorów, ale też tymi właśnie pańskimi gestami negacji i pogardy.

Buntować się — to prawo i obowiązek pisarza, ale nigdy nie dość uświadamiamy sobie i przypominamy, że na fakty literackie musimy patrzeć historycznie. Epoka Konopnickiej jest dla nas historycznie zamknięta zarówno w swoich konfliktach, jak i w swojej koncepcji piękna, w swojej artystycznej konwencji. Epoka ta była w sposób fatalny napiętnowana przez wielki romantyzm, powstawała w jego cieniu. Nawet to, co wielkie w naszej kulturze, obraca się często przeciwko nam. To, co było u romantyków wielkie, natchnione, odkrywcze — w tym czasie już staczało się w manierę, krzepło pod piórami drobnych talentów i talencików, rozmieniało się na drobną monetę oklepanych rekwizytów taniego sentymentalizmu.

Gdy się przegląda prasę literacką z tego okresu, z lat, w których debiutowała Konopnicka, przeraża ten zalew taniego poezjowania, pustosłowia, miałka sztampa post-romantycznego stylu, przybieranie przez poetów pózwieszczów przemawiających rzekomo do narodu i stojących ponad narodem, ale nie mających mu nic do powiedzenia, owych, jak pisali drwiąco krytycy, śpiewaków makolągwy i gila. Na tym tle trzeba zobaczyć Konopnicką w jej trudzie przezwyciężenia tej narzucającej się ze wszystkich stron maniery poetyckiej, wypełniającej jej rzeczywistą treścią społeczną i liryczną. Gdy dziś czytamy po latach poezje Konopnickiej, mając za sobą doświadczenia wielu pokoleń literackich, nie wolno nam tracić z oczu tej samotnej niemal postaci krzątającej się w swoim trudnym świecie, borykającej się z manierą swego okresu i ulegającej mu, a jednocześnie niestrudzonej w pomysłach, w wynalazkach artystycznych, dzielnej pod względem ideologicznym, często idącej pod prąd gustów i przekonań ogółu. Ileż strof i form poetyckich wymyśliła, które do dziś zapełniają strony traktatów o wersyfikacji. Jej obrazki prozaiczne są, jeślibyśmy użyli modnego dziś wyrażenia — drapieżne. Jej pomysły reportażowo-faktograficzne, nasycanie prozy elementem dziennikarskiej niemal faktografii — odkrywcze. Jej poezja i proza dla dzieci — do dziś nieprzekroczone. Jej instynkt pisarski trafiający w węzłowe sprawy epoki: w sprawę chłopską — nieomylny. Ten instynkt współodczuwania z narodem dyktował jej kute jakby w metalu — a nie w miękkim słowie — strofy Roty. I to jest właśnie to, co najbardziej zdumiewa w Konopnickiej i najbardziej fascynuje współczesnego pisarza, który przy najlepszych i najsłuszniejszych często intencjach jest oddzielony od narodu szklanym murem. Niewielu współczesnym pisarzom udaje się w pełni podejmowany wysiłek dialogu z własnym narodem. Tymczasem ten dar właśnie był udziałem Konopnickiej. Byli większi poeci, lecz nie było bardziej kochanych, bardziej czczonych i szerzej oddziaływających na kilka pokoleń inteligencji i chłopów. Zwłaszcza całe pokolenie ludowych działaczy i poetów ludowych wychowało się na słowie Konopnickiej.

W twórczości Marii Konopnickiej pod najsurowszym spojrzeniem nowego pokolenia poetyckiego — ostanie się pełna liryzmu poezja dla dzieci, ciekawe, że właśnie ona, pozbawiona często manieryzmu epoki, poetycko czysta; zostanie świetna proza, zostanie garść przejmujących liryków, często nie uwzględnianych nawet w oficjalnych wyborach jej wierszy, liryków ludzkich i mądrych.

Bo jest Konopnicka z rodziny tych właśnie racjonalistycznie nastawionych, mądrych kobiet piszących. Czasami aż żal, że tak mało osobistych, intymnych przeżyć uznała godnymi swojej poezji, że przemilczała tak wiele ze swego wewnętrzngo świata przeżyć na korzyść tzw. służby społecznej. Pełne cierpienia i trudu życie nie znalazło wyrazu w jej poezji. Tak jakby oddzielała wyraźnie sprawy życia i sztuki, chciała wznieść się ponad własne życie i cierpienie. Tym bardziej przejmująco brzmi kilka lirycznych westchnień i okrzyków bólu, jakie przedarły się do jej poezji.

W tym wyrzeczeniu poetki — tkwi wielkie niebezpieczeństwo, szansa szerokiego oddźwięku, ale i samozagłady poetyckiego ja.

O CHŁOPSKIM PISARSTWIE RZESZOWSZCZYZNY

JAN GRYGIEL

DOPIERO w II połowie XIX wieku zaczyna się kształtować na szeroką skalę chłopski udział w kulturze narodowej i chłopskie pisarstwo jako zjawisko społeczne. Chyba najbardziej dynamicznie piśmiennictwo to rozwijało się na terenie dawnej Galicji a dzisiejszego województwa krakowskiego i rzeszowskiego. Tu bowiem była kolebka ruchu ludowego, tu najwcześniej dojrzewała chłopska świadomość klasowa. A literatura ludowa jest terenem, na którym w sposób najbardziej oczywisty wyrażało się dojrzewanie ideowe polskiego chłopa. Bo jaka była rola chłopskiego pisarza w jego środowisku? Czy pełnił funkcję wiejskiego lirnika, artysty z bożej łaski, śpiewającego sobie a muzom? Artysty upiększającego swój ciężki żywot? Byli i tacy, ale chłopski pisarz to najczęściej także chłopski działacz, wychowawca, agitator buntu społecznego. To autorytet moralny. Pióro bywało narzędziem w walce. Chłopi-pisarze redagowali repliki, skargi i zażalenia mieszkańcom wsi, bywali redaktorami lub korespondentami pism ludowych, rzecznikami chłopskich interesów.

Nie można rzec, by przed zniesieniem pańszczyzny chłopi nie mieli żadnego udziału w piśmiennictwie. Autor pochodzenia chłopskiego w literaturze staropolskiej nie raz się pojawiał, jak świadczy o tym przykład Klemensa Janickiego. Ale w tamtych warunkach tacy pisarze „wysferzali się”, zmuszeni byli do oderwania się od własnego środowiska i własnej klasy za cenę możliwości awansu i działania. Wtapiali się w nurt kultury szlacheckiej nie wypierając się wszakże swego chłopskiego pochodzenia.

Nowa sytuacja społeczna w czasach popańszczyźnianych umożliwiła chłopom piszącym zachowanie swej odrębności kulturalnej i ideowej, co z kolei przyczyniło się do gwałtownego wzrostu aktywności literatury chłopskiej.

Na terenie dzisiejszej Rzeszowszczyzny od roku mniej więcej 1850 do czasów współczesnych tworzyło około dwudziestu samorodnych pisarzy ludowych. Oto niedokładna lista.

Sebastian Lesiczka, tzw. Sobek z Jeżowy. Nie znamy bliżej jego biografii, niewiele także wiemy o jego twórczości. Nazwisko to występuje w wielu notatkach, drukowanych w prasie galicyjskiej.

Jan Rak z Husowa koło Łańcuta — najwybitniejszy chłopski poeta samorodny, żyjący w latach 1820—1909.

Wincenty Motas z Grębowa koło Tarnobrzega (1850—1918) — poeta.

Tomasz Walski ze wsi Stale w Tarnobrzeskim — poeta i gawędziarz, malarz chłopskiego obyczaju.

Ferdynand Kuraś spod Tarnobrzega (1871—1929) — dość głośny poeta, autor kilku tomików wierszy, pamiętnikarz.

Dominik Piękoś z Przybówki koło Krosna (1872—1912) — poeta.

Jan Słomka z Dzikowa koło Tarnobrzega — pamiętnikarz i działacz chłopski.

Franciszek Magryś z Handzlówki koło Łańcuta (1846—1934) — działacz i pamiętnikarz.

Wojciech Wiącek z Machowa pod Tarnobrzegiem — działacz społeczny i oświatowy, chłopski publicysta.

Wojciech Byczek Breowicz z Osobnicy koło Jasła — poeta i działacz ludowy, dziś redaktor pism polonijnych w Brazylii.

Józef Kapuściński z Lipnik koło Przemyśla — poeta i pamiętnikarz.

Walenty Kunysz z Kraczkowej koło Łańcuta — poeta, chłopski satyryk i gawędziarz.

Wojciech Biernat z Nienadówki — poeta.

Maria Puterla z Błędowy Tyczyńskiej koło Rzeszowa.

Stanisław Kotula z okolic Głogowa — chłopski etnograf samorodny.

Jan Stryczek z Woli Dalszej koło Łańcuta — pamiętnikarz i publicysta, laureat nagrody czasopisma „Polityka”.

Roman Turek z Jawornika pod Łańcutem — pamiętnikarz i gawędziarz.

W tym zestawieniu pomijam działaczy politycznych, którzy także parali się piórem, pozostawiając dokumenty swej pracy i doświadczeń w relacjach pamiętnikarskich. Nie mieli oni bowiem w swym pisarstwie ambicji artystycznych, nie uważali się za poetów.

Najbardziej chyba zdecydowany w swoich śmiałych jak na owe czasy poglądach był nestor chłopskiej poezji Jan Rak.

(Dokończenie na str. 14)

SEN O ZIELONEJ KOKARDCE

JERZY KSIĘSKI

TERESA... Szczupła, zielonooka Teresa z wiecznie tym samym osiemnastoletnim uśmiechem. Warkocz przerzucony przez ramię na pierś zastygł w zamaszystym geście, a mała kokardka, która przewiązuje włosy jest z pewnością również zielona.

Chłopak, który oglądał fotografię, wygładził pomięte brzegi bokiem dłoni. Przyjrzał się jeszcze raz uważnie, jak gdyby sprawdzając, czy warkocz jest na swoim miejscu i chuchnąwszy na lśniącą powierzchnię odbitki przetarł ją końcem rękawa białej koszuli zupełnie tak samo, jakby przecierał lusterko.

— Eee! Biały! — zawołał z sąsiedniego łóżka beznogi Kukiel. — Przestań już się modlić do tej twojej fotografii. Zagniecieie na śmierć... i szukaj mu potem podobnego egzemplarza.

— I cóż ta twoja Tereńka — narzeczona znaczy się — pisze? Czy zdrowa chociaż? — zaśpiewał po wileńsku ranny w obie ręce Maniewicz — no słyszysz, Biały, do ciebie mówię — co tam słychać u Tereńki?

Chłopak, którego nazywano „Biały", siedział sztywno na łóżku. Omotana bandażami głowa i szyja odcinały się wyraźnie na tle brudnej ściany. Nie patrząc namacał ręką krawędź szafki i schował fotografię do bardzo już wygniecionego portfela z brezentu. Ten portfel i fotografia dziewczyny bardzo pasowały do siebie i „Biały" o tym wiedział.

Połówka drzwi uchyliła się i do sali wszedł lekarz w towarzystwie piegowatej siostry.

— Cześć piechociarze! — mruknął wyraźnie naśladując styl naczelnego chirurga, który był nie tylko przełożonym, ale i żołnierskim wzorem całego personelu medycznego w tym szpitalu wojskowym na tyłach.

— Cześć kapitanie-doktorze — siląc się na powagę odkrzyknęli żołnierze.

— No i jak tam? — zapytał lekarz podchodząc do pierwszego łóżka.

— Po staremu — zameldował kapral Puszkarski.

Ten dialog słowo w słowo powtarzał się już niejednokrotnie. Nikomu nawet na myśl nie przyszło, że kiedyś w klinice lekarz używał innych formułek. Tylko piegowata siostra — przyjechali tu razem — wiedziała, że dawniej zaczynało się od zdania nieco dłuższego. W pokojowych czasach jej szef zwykł pytać: „No i jak dzisiaj chory się czuje? Co dolega?"

Tutaj jednak nie było chorych w znaczeniu tradycyjnym, byli ranni żołnierze przywiezieni z wielkiej bitwy, a pytanie „co dolega" brzmiałoby absurdalnie. Wiadomo co. Postrzał, przestrzał, odłamek, amputacja, resekcja...

— No i jak tam? — pytał lakonicznie przy pierwszym łóżku i wiadomo było, że codzienny obchód już się rozpoczął.

— Po staremu — meldował Puszkarski. Dwa tygodnie temu z trudem seplenił te dwa słowa. Świstały mu między zębami, chrypiało długo „r" — aż spod okna dopytywał się po swojemu Maniewicz: — I cóż tam on, koledzy, powiedział takiego? Jakoś nie dosłyszawszy.

Dzisiaj Puszkarski wrzasnął po raz drugi i to już całkiem regulaminowo: — Po staremu, obywatelu doktorze! Wszystko w porządku!

— Wszystko w porządku — wyrecytował mechanicznie „Biały", kiedy przyszła jego kolej. Piegowata poprawiła mu bandaż rozluźniony za uchem — zużyła na to zapasową agrafkę, kiedy wtrącił się Kukiel.

— Panie doktorze, melduję, że „Biały" nie w porządku z dyscypliną. Leczy głowę, a słabowity na serce. Przemęczony z powodu jednej fotografii. U niego już serce większe, niż rozum.

Chłopaki gruchnęli śmiechem, aż zatrzeszczały wysłużone żelazne łóżka.

Bronek z przestrzelonym płucem krztusił się przygnieciony atakiem kaszlu.

— No, no — spokój na tyłach, nie robić mi tu drugiego frontu — zakomenderował lekarz, uśmiechając się głębią zaczerwienionych ze zmęczenia oczu. No to, „Biały", pójdziemy na oddział wewnętrzny, co?

— Słowo daję, narzeczonej mieć nie można! — użalił się „Biały", ale już nie bardzo wściekły.

Po oględzinach Maniewicza — nie tyle Maniewicza, co jego poharatanych rąk, wizyta lekarska była skończona.

— Czołem, piechota Kościuszki! — powiedział lekarz i wyszedł mimo wyraźnej ochoty na pogawędkę.

Rozpoczął się długi jak bandaż szpitalny dzień.

Pierwsze dni były jakby krótsze. Na pewno krótsze dla Puszkarskiego, który leżał unieruchomiony, wyrzucając z siebie ciężkie, przepojone dychawicznym świstem sny na przemian z ropą, która ściekała po sączku do emaliowanego kubka. Krótsze dla Kukiela, którego po amputacji wysoka gorączka trzymała w łaskawej krainie narkotycznych majaków. Krótsze o dawki weronalu dla Maniewicza, starego Debicha, Czwartaka. I najkrótsze dla Orzechowicza, którego zabrano z sali zaraz na początku i potem umarł nie odzyskawszy przytomności.

Teraz, kiedy siedzę na łóżku Maniewicza i piszę pod dyktando list do jego domu, mały pokoik przerobionej na szpital willi cuchnie wprawdzie jodoformem i ropą, ale to już nie to samo. Sami ozdrowieńcy. Połowa wróci do dywizji jak nic. Maniewicz wymachując zabandażowanymi kikutami rąk dyktuje, a ja ręce mam całe, no to piszę:

„Kochani! Nie przerażcie się, że nie piszę własnoręcznie — wyręcza mnie kolega, bo ja jestem trochę ranny w prawą dłoń i przebywam w szpitalu. Wypoczywam tutaj nieźle. U mnie wszystko dobrze, martwię się o was, bo idzie zima, a mrozy w Krasnojarsku to nie żarty. Kolegów mam wesołych, jak coś będzie nowego, to napiszę"...

— Maniewicz! — woła przez trzy łóżka stary Debich — a napisz tam, że „Biały" na ślub cię zaprasza.

Wszyscy znają tę fotografię zielonookiej, jak mówi „Biały", dziewczyny. Na odwrocie dedykacja: „Narzeczonemu — Terenia". Macha „Biały" ręką na te wszystkie docinki. Przyzwyczaił się. A rozpowiedział wszystkim właśnie Kukiel. W jednej drużynie byli, to i zżyci najbardziej. „Biały" jeszcze gołowąs, a Kukiel starszy, 45 mu już minęło, no to ma prawo trochę pożartować.

— Kto się lubi, ten się czubi — zaciąga pojednawczo Maniewicz.

— Co ty też wygadujesz, Wilniuku jeden — złości się Bronek. — Bierzesz się ze szwabem za bary, bo go lubisz, to tak po twojemu, wychodzi, co?

— Oj lubię ci go ja, lubię, jak psy dziada na Słomianiszkach — pojękuje Maniewicz.

•

WLOKĄ się te szpitalne godziny kulawo, postukując szczudłami o szczerbatą podłogę. Tylko Czwartek nie może jeszcze wstawać, pali papierosa wydmuchując dym po sztubacku w wąski rękaw żołnierskiej koszuli.

Po raz nie wiadomo już który Czwartek znowu się dopytuje, byle szybciej zeszło do obiadu:

— To jak się ta wieś nazywa, bo zapamiętać nijak nie mogę?

— Ech, ty ciemniago — śmieje się Kukiel.

— No, ale powiedzcie, bo ja naprawdę nie pamiętam.

— Połzuchy — mówi „Biały".

— Poł — zu — chy — powtarza wolno z namysłem Czwartek, wciągając głęboko machorkowy dym.

— Połzuchy to było na prawo od nas — dodaje Bronek — a na lewo Trigubowa, a jeszcze dalej na lewo miasteczko Lenino.

— E, tam, miasteczko! Same ruiny nie miasteczko — dorzuca któryś.

— Jakby tak pójść na zachód bardziej, to i do Dniepru by doszedł — wzdycha Maniewicz — zawsze to wodą bliżej, no i szybciej by było do kraju.

„Biały" przymyka powieki. W głowie zaczyna mu znowu nieznośnie huczeć, a rana na karku porządnie narywa. Przypomina sobie, że on i Kukiel oberwali pod tym Lenino prawie równocześnie. Trzynastego października, następnego dnia po pierwszym szturmie, wtedy jak szły do szarży polskie czołgi. Zobaczył, jak Kukiel zwalił się przy brzegu tej parszywej bagnistej rzeczki, — jak się ta rzeczka nazywa u licha?...

Acha, przypomina sobie — Miereja. — Pamięta, że Kukiel runął jak długi w bagno, i więcej już nic.

No i spotkali się tutaj.

— Jak myślisz, Kukiel — zapytał go kiedyś jeszcze na ćwiczeniach — dojdziemy my do tej Wisły? Bo „Biały" nigdy w życiu Wisły nie widział, ale śpiewał o jej najpiękniejszym brzegu taką jedną piosenkę.

— A co ty myślisz, synku — ofuknął go wtedy Kukiel. To ja więcej niż dwa razy starszy od ciebie pchałbym się na darmo tyle kilometrów, żeby Wisły nie zobaczyć?

Kukiel był z cywila buchalterem i nie mógł Biały zrozumieć, czemu taki wesoły.

Przymknął „Biały" oczy i ostrożnie położył się na boku. Rozmyśla gorączkowo, oddychając szybko i płytko. Za oknem ostatni październikowy wicher kołysze zmurszałą tyralierę płotu. Jutro już listopad. Trzynastego listopada będzie miesiąc. Lekarz powiedział, że poleży tu miesiąc.

Miesiąc? Czy to długo, czy krótko? W przeciągu miesiąca nauczył się żołnierskiego katechizmu. To było wiosną, wiosną miesiąc trwa dłużej niż teraz — pomyślał. Żarty, żartami, ale coś niemrawo się dzisiaj czuję; kiedy przyniesie piegowata gazetę; czemu ten Czwartek dmucha dym do rękawa, on by nie mógł ze swoim sztywnym karkiem; która to może być godzina... a czy Terenia ma naprawdę zieloną kokardkę przy warkoczu? E tam, pewnie, że zieloną. Zieloną jak ten koc — stwierdza. I usypia przytulając szorstką żołnierską zieleń do bandaża na policzku.

Jak zawsze czujny na wszystko, co się dzieje dookoła, Kukiel mruga do nas porozumiewawczo.

— Ot i pospał się, nasza dziecina — sepleni spod okna Maniewicz. Ostrożnie przysiadam znowu na rogu jego łóżka i zaczynamy wszyscy razem układać list — list do „Białego", taki żołnierski list od narzeczonej na wszelki wypadek.

— A u nas nad rzeką to tataraki także samo byli zielone — mówi ni w pięć ni w dziewięć Maniewicz i odwraca głowę. Za tym jednym oknem szpitalnego pokoju słychać było świsty wiatru zmagającego się ze sztachetami zmurszałego płotu.

Wiernie służył polskiej muzyce

Stanisław Namysłowski

29 czerwca br., na cmentarzu w Chomęciskach, członkowie Orkiestry Włościańskiej im. Karola Namysłowskiego pożegnali swego serdecznego przyjaciela, artystę i dyrektora — Stanisława Namysłowskiego. Żegnali Go muzyką polską, którą Zmarły ukochał. Muzyką, która, jak legendarny eleksir młodości, sprawiała, że mimo swych 84 lat był pełen energii i wigoru.

Kołysankami w dzieciństwie były Mu skoczne polki, zadzierżyste mazury, porywiste oberki, ogniste krakowiaki, których refreny i melodie dobiegały chłopca z sąsiedniej izby w dniach prób zespołu prowadzonego przez ojca.

Wcześnie ujawnił się w Nim talent muzyczny. Jak Janka Muzykanta urzekły Go skrzypce. Robi duże postępy w muzyce, a jednocześnie uczęszcza do gimnazjum w Zamościu. Po ukończeniu szkoły kontynuuje naukę gry na skrzypcach u Stanisława Barcewicza, prof. Konserwatorium Warszawskiego, występując już w tym czasie w orkiestrze ojca, jako solista i dyrygent.

W 1904 r. wyjeżdża na dalsze studia do Pragi Czeskiej. Po czterech latach uzyskuje tam dyplom skrzypka-wirtuoza w klasie prof. Oskara Sevčika. Na studiach dał się poznać jako utalentowany dyrygent, toteż po ich ukończeniu otrzymuje propozycję objęcia stanowiska dyrygenta Filharmonii Praskiej. Stanisław Namysłowski odrzuca propozycję. Idzie śladami swego ojca — Karola I, rezygnując z perspektywy kariery europejskiej, wraca do rodzinnych Chomęcisk, aby pracować w zespole i wspólnie podnosić jego kwalifikacje. Ojciec z synem realizują swe zamierzenia. W tym to okresie zaobserwować można stały wzrost repertuaru symfonicznego orkiestry, przy jednoczesnym utrzymaniu tradycji polskiej tanecznej muzyki ludowej. Nazwiska Chopina, Moniuszki, Wieniawskiego, Noskowskiego w programach koncertowych świadczą o wysokich ambicjach założyciela orkiestry — Karola, a zwłaszcza Stanisława Namysłowskiego, czego wyraźnym dowodem są szczegółowe programy koncertów. Liczne recenzje mówią też o tym, jak wielkim zaskoczeniem dla publiczności był szeroki wachlarz repertuarowy Włościańskiej Orkiestry Symfonicznej. Karol i Stanisław Namysłowscy wraz z zespołem przemierzają dalekie szlaki. „Polska nuta" była dla rodaków pociechą w smutnych dniach niewoli i przypominała wszystkim, że pieśń i muzyka polska nie zginęły.

Po pierwszej wojnie światowej sława zespołu i jego dwóch ofiarnych dyrygentów obejmuje coraz szersze kręgi. Sięga aż za ocean. Polonia Amerykańska organizuje w 1924 roku tournée koncertowe po 14 stanach Ameryki Północnej. Zbyt uciążliwa była to podróż dla Karola Namysłowskiego, zagrożonego utratą wzroku, na skutek wieloletniej, mozolnej pracy nad pisaniem nut. Jedzie więc Stanisław, jako samodzielny dyrektor orkiestry.

Doświadczenia z lat okupacji pozwalają nam dobrze zrozumieć, czym były dla Polonii koncerty rozbrzmiewające nutą narodową. Wszędzie owacje, kwiaty, prezenty, z których najcenniejszy — gwiaździsty sztandar amerykański znajduje się w Muzeum Zamojskim. W entuzjastycznych recenzjach, w których podkreślano wysoki poziom wykonawstwa, wiele miejsca poświęcono Stanisławowi Namysłowskiemu, jako niezwykle utalentowanemu dyrygentowi i soliście.

Po śmierci ojca, Stanisław przez kilkanaście lat godnie kontynuuje jego dzieło.

Ponury wrzesień 1939 r. przerywa działalność artystyczną zespołu. Prof. Namysłowski, zagrożony aresztowaniem, wyjeżdża do Warszawy, gdzie przebywa do grudnia 1945 r. Po powrocie do Zamościa z całym zapałem zabiera się do pracy, aby jak najszybciej wznowić tradycyjne tournée koncertowe i dawną świetność orkiestry. Mimo jednak ofiarnych wysiłków, pierwsze lata nie przynoszą spodziewanego rozwoju. Lecz oto koncert jubileuszowy 50-lecia pracy artystycznej Stanisława Namysłowskiego, w sali Państwowej Filharmonii w Lublinie, na którym Jubilat wystąpił jako solista i dyrygent, otwiera nowe perspektywy dla zespołu. Następuje zwiększenie dotacji przez Radę Państwa, PWRN w Lublinie zakupuje dla orkiestry regionalne stroje lubelskie i oto znów Stanisław daje dowód niewyczerpanej energii. Wiele miast i miasteczek Polski ponownie usłyszało namysłowiaków.

Lata płynęły, a Stanisław Namysłowski pracował z iście młodzieńczym zapałem. Do ostatnich swych dni nie chce słyszeć o żadnym zastępstwie. Koncert na uroczystość 75-lecia istnienia orkiestry prowadzi sam, występując również jako solista, a miał wówczas 79 lat. W dniu tym otrzymuje kolejne odznaczenie państwowe — Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

Dziś zabrakło Go. Już na zawsze znikła z ulic Zamościa i „Centralki" znana wszystkim postać starszego pana z dyskretnie uczernionymi wąsikami, który z młodzieńczym błyskiem w oku umiał roztaczać przed słuchaczem barwne obrazy i wspomnienia ze swego długiego i pracowitego życia. Obrazy, w których na czoło wysuwała się Jego wielka miłość — muzyka polska.

Janina Berezowska

W PRYZMACIE LAT

MAREK ADAM JAWORSKI

MIASTO niby to samo, ulica Lubelska i dziś jest miejscem spotkań, spacerów... Dwie kawiarnie przepełnione; przy stolikach przede wszystkim młodzież, chłopcy flirtują z dziewczętami, popijając kawę, a niekiedy wino czy likier...

Z tego miasta wyjechałem przed szesnastu laty. Często wracam doń jednak myślą, tak jak się wraca do wspomnień z dzieciństwa, wieku młodzieńczego — zamkniętych rozdziałów życia.

Miasto jest niby to samo, ale inne zarazem; pozostały mury. Między murami kręcą się jednak inni ludzie. Inni też ludzie mieszkają w nowych blokach, w nowych domkach, których tak wiele powstało tu po wojnie. Ale wszystko to nie zaspokaja potrzeb 32-tysięcznej stolicy powiatu. **„Pozytywnie** — mówi przewodniczący Prezydium MRN, tow. Bolesław Rycerz — **rozpatrzyliśmy 713 wniosków na mieszkania. W ten sposób zamknęliśmy listę do 1965 roku, ale już dodatkowo wpłynęło 400 podań".**

Stare mury wykruszają się jak ludzie. To, co przed trzydziestu, czterdziestu laty było szczytem komfortu, dziś jest często rozpadającą się ruderą, pochłaniającą dziesiątki tysięcy złotych na remonty.

Tradycyjny spacer Lubelską — od Obłońskiej pod Górkę. Trzy razy odbyłem tę drogę, zanim napotkałem znajomego. Tow. St. Żuk jest dziś dyrektorem szkoły ogólnokształcącej. Opowiada o okresie maturalnym, dość dużym odsiewie. Około 20 proc. uczniów jedenastej klasy będzie musiało jeszcze przezimować w szkolnej ławce. Matura nie może być świstkiem papieru, ale rzetelnym sprawdzianem wiedzy. Tow. St. Mrożkiewicz, przewodniczący komisji egzaminacyjnej nie miał nadzwyczajnych wymagań, trudno było mu jednak zaakceptować nieuctwo.

Większości tegorocznych maturzystów nie było przed dziewiętnastu laty. Ich życie zaczęło się już w Polsce. Nie słyszeli ryku syren, nie budził ich w nocy świst spadających bomb. Wojnę znają z podręczników, z opowiadań rodziców. Wiedzę zdobywają nie na tajnych kompletach, nie chowają książek pod koszulą, bacznie obserwując SS-manów. I nie znają wreszcie radosnej chwili, gdy w Chełmie witano w lipcu 1944 roku pierwsze oddziały z zielonymi rogatywkami. Są ubożsi o ten dzień, gdy na ulicach miasta pojawił się Manifest PKWN, wydrukowany przez Jacka Zajączkowskiego w miejscowej drukarni. Jacek udzielił już na ten temat wielu wywiadów; z okazji 22 Lipca przypomina go sobie cała Polska. A ja pamiętam Jacka z innego, dawniejszego okresu, gdy toczyliśmy podwórzowe boje. Jak nazywała się ta gra w piłkę? Bodaj — „walka narodów"...

Na ulicy Lubelskiej wracają wspomnienia. Tu, na placu przed kinem, po raz pierwszy usłyszałem chóralny śpiew „Jeszcze Polska"... W tym gmachu, koło biblioteki, znajdowała się siedziba Związku Walki Młodych. Funkcję przewodniczącego pełnił ówczesny ojciec miasta, Kazio Zarębski. Był starszy ode mnie o kilkanaście lat, sprawiało mi satysfakcję, kiedy do prezydenta Chełma mówiłem per „kolego". Regularnie, co tydzień, zbieraliśmy się na ZWM-owskich zebraniach. Była nas garstka, zaledwie kilkanaście osób, ale z pasją, całymi godzinami dyskutowaliśmy o problemach współczesnego świata. Na zebrania przychodzili niekiedy starzy działacze PPR, opowiadali o swej działalności przedwojennej, o walce z okupantem. To jeszcze nie była historia, front zatrzymał się na Wiśle. W lasach wokół Chełma obozowali żołnierze Wojska Polskiego, ćwicząc się do ostatecznego natarcia. Przygotowywaliśmy dla nich paczki, jeździli z występami artystycznymi — słowem i piosenką.

Przed dawną siedzibą ZWM jest dziś przystanek komunikacji miejskiej. Pięć linii autobusowych łączy rozbudowujące się miasto. Ma być i szósta. Dwadzieścia kilka autobusów to poważny zastrzyk...

Być w Chełmie i nie widzieć cementowni — to tak jak w Lublinie nie zobaczyć Fabryki Samochodów Ciężarowych, a w Szczecinie — Stoczni. „Jedynka" dowozi na samo miejsce. Mam jednak pecha, już za „dyrekcją" psuje się koło. Nie chcę czekać pół godziny na następną maszynę, tylko postanawiam odbyć dalszą drogę piechotą.

Nie byłem tu od kilkunastu lat. Kiedyś ciągnęły się tu pola. Dziś na pustkowiu wyrosły jednopiętrowe domy, bliźniaczo do siebie podobne. W każdym mieszkają po dwie rodziny. Wszędzie ogródki, niektóre bardzo starannie utrzymane. Tak dzięki cementowni Chełm wzbogacił się o jeszcze jedną dzielnicę, która nadal będzie się rozrastać wraz z rozbudową cementowni.

O tym, co już jest i co będzie jutro, szczegółowo opowiada mi zastępca dyrektora Lubelskiego Zjednoczenia Przemysłu Cementowego, inż. Kazimierz Józefowicz.

Za biurkiem siedzi człowiek o młodzieńczej sylwetce. Pokolenie trzydziestolatków. W metryce urodzenia — rok 1932. Miejsce przyjścia na świat — Warszawa. Ale w roku 1939 rodzice Józefowicza musieli opuścić Warszawę, osiedlili się w powiecie hrubieszowskim. Kazik (chyba towarzysz dyrektor daruje mi tę poufałość) zdał maturę w Hrubieszowie, wstąpił na Politechnikę Wrocławską. Wybrał wydział elektryczny. Po jego ukończeniu zgłosił się po nakaz pracy. Chciał wrócić na Lubelszczyznę, zaproponowano mu jednak cementownię w Szczakowej.

— Szczakowa — zachęcano — leży między Krakowem a Zakopanem. Na niedzielę będziecie mogli robić piękne wypady w góry!

Kazik zgodził się. Potem na mapie odszukał tę Szczakową. Rzeczywiście leżała blisko Krakowa, ale nie na linii zakopiańskiej, tylko katowickiej...

Na miejscu okazało się jednak, że nie ma wolnych etatów. Kazik nie zmartwił się tym zbytnio. Mógł teraz powiedzieć w Zjednoczeniu: „Skierujcie mnie do Rejowca".

Skierowali. Dla tow. Józefowicza otworzyła się droga awansu. Pierwszym szczeblem była funkcja majstra w elektrowni rejowieckiej cementowni. Potem został kierownikiem elektrowni, następnie zastępcą głównego energetyka, głównym energetykiem, później znów wyżej i wyżej aż do dzisiejszego stanowiska w chełmskiej cementowni, za której pracę — jako zastępca dyrektora Lubelskiego Zjednoczenia Przemysłu Cementowego — faktycznie odpowiada. Odpowiedzialność to niebagatelna. W ubiegłym roku cementownia „Chełm" wyprodukowała ponad milion ton cementu, jedną siódmą produkcji ogólnopolskiej. Wkrótce, po zainstalowaniu dwóch dalszych pieców, produkcja roczna wzrośnie do 1,5 miliona ton. Ale na tym nie koniec — obok obecnej cementowni powstanie tu druga, zbudowana w ramach RWPG. Te dwie cementownie — to rocznie około trzech milionów ton cementu!

Między Rejowcem a Chełmem stale, w dzień i w nocy, kursują pociągi. Z Rejowca dowożą do Chełma margiel, z Chełma do Rejowca — kredę. Te dwa surowce uzupełniają się wzajemnie.

W ciągu doby przemierza ten dwudziestokilometrowy szlak 110 wagonów. Każdy wiezie 25—27 ton marglu lub kredy. W ciągu doby opuszcza Chełm 80 tysięcy worków z cementem. Kolosalna praca dla pakowaczy, których w zakładzie jest około setki. Ale pakowanie to przecież końcowy akord pracy tysięcznej załogi.

Inż. Józefowicz podaje mnóstwo szczegółów technicznych. Nie próbuję nawet notować, te sprawy pozostawiam fachowcom. Interesuje mnie inny problem — kadr.

Załoga zżyła się z zakładem — to fakt. Olbrzymia większość ma mieszkania — często z ogródkiem. Oni z pewnością na stałe pozostaną już w cementowni. Nie za wszystkich inżynierów można jednak ręczyć. Ostatecznie Chełm nie jest znów dla młodych ludzi aż tak atrakcyjnym miastem. Gdy przyjdzie lato, nawet z wodą są trudności — nie tylko z wodą do kąpieli, ale nawet i tą do picia...

A tu niedaleko, w Puławach, rośnie inny kombinat — „Azoty". Puławy leżą nad Wisłą, bliżej Lublina, czy nie staną się magnesem?

Przy ciągłym braku fachowych kadr uprzemysłowienie stwarza trudne problemy. Nic dziwnego, że dyrekcja cementowni martwi się już na zapas. W tym zmartwieniu dużo jest jednak ogólnego optymizmu...

...Odjeżdżałem z Chełma-śródmieścia. Tego dworca, przy ul. Lubelskiej też nie było przed dziewiętnastu laty. Wówczas wysiadało się na stacji leżącej kilka kilometrów od centrum miasta. Dzisiaj jednak to centrum miasta przesuwa się dalej na wschód. Jest w tym coś z symboliki naszych czasów.

Kłopoty

PRZED budynek Powiatowego Domu Kultury w Chełmie zajechaliśmy kwadrans przed wyznaczonym terminem. Dzień robi się upalny. Przełamując pierwsze oznaki lenistwa drapiemy się na sąsiednią górę, a potem na sterczący na jej szczycie kopczyk. Przed a właściwie pod nami panorama miasta, przerywana zielonymi koronami otaczających kopczyk drzew. Najlepiej widać nową część miasta — rząd dymiących kominów cementowni oraz płaszczące się przed nimi parterowe domki osiedla przyzakładowego.

— Przydałby się helikopter — wzdycha ktoś tęsknie.

Zamiast helikoptera zjawia się wkrótce przed PDK pojazd, w zaproszeniu szumnie nazwany autokarem, w rzeczywistości zwykły, seryjny „San". Grupa przybyłych z Lublina architektów sadowi się przy oknach i ruszamy na krótki objazd miasta. Czasu jest niewiele, więc właściwie kręcimy się tylko po kilku ulicach śródmieścia, szukając budujących się właśnie domów. Ich proste, typowe bryły nie są szczytem architektoniczno-inżynieryjnej sztuki. Kierownik budowy irytuje się nawet, że ze względów oszczędnościowych nakazano mu tymczasowe przerwanie zakładania instalacji kanalizacyjnych. Architekt miasta podobno groził z tego powodu dymisją — ostatecznie jednak obaj zgodzili się z tą chwilową koniecznością.

O budującym się w środku miasta osiedlu można by powiedzieć, że daje tyle a tyle setek izb mieszkalnych, że zamieszka tam ponad tysiąc osób, i cieszyć się z pozytywnego bilansu. Rzecz jest jednak bardziej skomplikowana i właśnie tu, w Chełmie, liczy się nie tylko milionami złotych. Stare, jedno z najstarszych miast w Polsce nie miało specjalnego szczęścia w historii. Nie omijały go burze dziejowe, najazdy i pożary, zarazy i oblężenia, ale omijały szanse rozbudowy, wzrostu znaczenia administracyjnego czy handlowego. Międzywojenny projekt przeniesienia tu dyrekcji kolejowej przyniósł fragment nowej dzielnicy, ale na projekcie się skończyło. Wielkie dni lipca 1944 r. przyszły i odeszły zbyt szybko. Zmieniły się pojęcia, przybywało pracy, mnożyły się szkoły, wyrastały nowe problemy i rośli nowi ludzie — ale dopiero wybudowanie cementowni stało się przełomem. Przez kilka lat wszystko kręciło się koło niej. Nikt nie protestował — odwrotnie, wszyscy cieszyli się. Że daje pracę, hale, domy, ulice, sklepy, że miejscowi znajdują pracę, że starcza jej także dla przybyszów. Cementownia stała się potężnym czynnikiem miastotwórczym — mawiano słusznie na naradach.

Tak potężnym, czego już nie mówiono, że swoim milionem ton rocznej produkcji przytłamsiła miasto. Znalazło to nawet swój wyraz w zatwierdzonym przed trzema laty perspektywicznym planie zagospodarowania miasta. Wiwisekcja tego planu, przeprowadzona przez moich gospodarzy, wykazuje, jak szybko i jak bardzo zmieniają się nasze pragnienia i wymagania. I że kanony architektury, a przede wszystkim urbanistyki, zmieniają się szybciej, niż zdołamy je przenieść na papier urbanistycznej pracowni. Twórcy planu widzieli w Chełmie tylko cementownię — i jej wymaganiom podporządkowali wszystko. Wydawało się to najbardziej słuszne — stąd wielkie ulice-obwodnice, opasujące miasto ze wszystkich stron, a zbiegające się u wrót fabryki. Stąd przenoszenie w rejon cementowni wszystkiego niemal, co ma powstać w przyszłości. Samo miasto pozostało prawie nienaruszone, z zagmatwaną siecią wąskich uliczek, niskich domków, brakiem wystarczającej ilości placówek usługowych.

No bo właściwie jaka ma być funkcja miasta: usługowa dla cementowni, czy twórcza dla całego rejonu, przekraczającego nawet granice powiatu? Czy ten konflikt jest antagonistyczny czy nieantagonistyczny? Czy miasto ma być częścią cementowni czy odwrotnie? Dyskutować można długo, każdy z dyskutantów ma prawo pozostać przy swoim zdaniu. Ale architekt, rysując plan, musi dać odpowiedź konkretną. Musi wziąć pod uwagę wszystkie punkty widzenia, musi wszystko zmierzyć, obliczyć, narysować, udokumentować. I musi umieć rzecz najtrudniejszą: przewidywać. Niemal jak wróżka. Życie stawia się niezwykle bogate i szybkie. To niemal slogan, ale wiecznie aktualny. Już przecież mówi się o drugiej w Chełmie, jeszcze większej cementowni, rodzą się plany kanału spławno-melioracyjnego, związanego z nim sztucznego zalewu, zaczynają się starania o lokalizację innych fabryk.

Dwie wielkie cementownie w Chełmie, a trzecia w pobliskim Rejowcu, będą chyba wymagały wybudowania odpowiednich zakładów mechanicznych, wytwórczych i naprawczych, w konsekwencji nowa dzielnica mieszkaniowa, nowe szkoły... Co i kiedy powstanie — trudno powiedzieć. Ale plan urbanistyczny musi być czuły jak sejsmograf, zastosowany do realnych możliwości, a jednocześnie zdolny przyjąć to wszystko, co przyniesie przyszłość.

Dyskusja kończy się uzgodnionym wnioskiem: trzeba dla Chełma opracować nowy plan urbanistyczny, nowy plan perspektywiczny. Nie dlatego, że stary był zły w chwili opracowania. Po prostu miasto wyrosło z jego ram. W ciągu kilku lat przeżyło tyle, że normalnie wystarczyłoby to na kilkanaście.

Załatwiliśmy się już jako tako z miastem, teraz kolej na wieś. Architekt powiatowy urzęduje zaledwie od kilku miesięcy. Sprowadzono go tu nie bez trudu, dano mieszkanie, postarano się o kilku młodych współpracowników, którzy niedawno ukończyli politechniki. W czasie studiów wszystkim marzyły się projekty nowych miast czy dzielnic, wielkich wieżowców i olbrzymich szkół. A w praktyce?

— Każdego dnia zgłasza się ok. 200 chłopów. A ponieważ każdy koniecznie musi się zobaczyć z „panem budowniczym", każdemu mogę poświęcić teoretycznie tylko 2 minuty — skarży się architekt powiatowy.

Ale przewodniczący Prezydium PRN cieszy się: to znaczy, że chłopi chcą się budować. Przez wiele lat był tu zastój, od dwóch czy trzech zaczął się ruch.

— Raczej młyn — wtrąca ktoś półgłosem.

— Jest w powiecie chełmskim kilkanaście wsi — mówi inż. St. Czaczyński — w których indywidualne łąki mają niezwykłe kształty: szerokość na jeden pokos, długość 1,5 km. W wielu gromadach na jednego rolnika wypada ponad 10 kawałków ziemi, po kilkaset, nieraz po kilkadziesiąt arów. To wynik stałych działów rodzinnych. No i oczywiście każdy chce się budować na swoim. Który z tych 10 kawałków wybrać? Jakże tu zgodzić się właśnie na tę działkę, która ma najlepszą ziemię, chociaż chłopu właśnie tam najwygodniej? Czy przy dalszym rozpraszaniu wiejskiej zabudowy można w ogóle mówić o budowie świetlic, domów higieny, wodociągów, nowoczesnych sklepów?

— Zwłaszcza nad Bugiem są wioski — zasępia się prof. K. Janczykowski, miły gość architektonicznej narady — w których wąskie pasemka pól ciągną się 4 km. Przy każdym z nich dróżka, czasem jedna dla dwóch, czasem osobna dla każdego. Te dróżki to wieczne źródło sąsiedzkich nieporozumień, czasem krwawych porachunków, często sądowych maratonów. No i druga ważna rzecz — czwarta, czasem nawet trzecia część ziemi zmarnowana. W tej niezwykle zagmatwanej sytuacji własnościowej i rozdrobnieniu ziemi bardzo trudno gospodarować chłopu, a chyba jeszcze trudniej architektowi. Ale przecież właśnie ten ostatni musi wprowadzić jakiś porządek.

Jak się okazuje, Chełm jest wśród miast powiatowych szczególnie uprzywilejowany: ma aż sześciu inżynierów-architektów. Trzech pracuje dla miasta, trzech dla powiatu. O ile miejski zespół urbanistyczny dopiero się organizuje, to zespół powiatowy pracuje już od kilku lat i ma „na rozkładzie" plany ogólne Rejowca, Siedliszcz, Wojsławic, Pawłowa, na deskach

jest Dorohusk... Praca żmudna, wymagająca stałych wyjazdów w teren, przeprowadzania badań przyrodniczych, demograficznych, socjologicznych i wielu innych. To byłaby jeszcze normalna robota, gdyby równocześnie architekt nie musiał zamieniać się w polityka, rolnika, prawnika, ekonomistę. Chłop-inwestor nie bardzo orientuje się w zawiłościach proceduralnych, które musi jednak pokonać, aby otrzymać zgodę na postawienie domu czy stodoły. Podobnie zresztą członkowie organizacji społecznych podejmujących pożyteczną akcję wznoszenia różnych budowli, ulepszania czy

nie tylko architektów

JERZY DOSTATNI

budowy dróg, zakładania sadów, regulowania rzeczek itd. Architekt w terenie musi propagować używanie nowoczesnych materiałów budowlanych, często umożliwić ich nabycie, nauczyć stosowania. No i oczywiście dokumentacja — typowa, tania, łatwa do odczytania i realizacji. Przystosowana do możliwości finansowych i upodobań indywidualnych budującego, a równocześnie zgodna z planem ogólnym.

Zebranie ma się ku końcowi. Dziennikarski notes napęczniał od notatek, które nie sposób zmieścić w jednym artykule. Zresztą nie chodzi o sprawozdanie. Nawet nie o pochwałę organizatorów — lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich, który podobno jako pierwszy w kraju przeprowadził plenarne zebranie zarządu w mieście powiatowym, temu miastu i jego powiatowi poświęcając całe obrady. Dobry przykład dla innych województw — ale ostatecznie ważne są rezultaty.

Pierwszy z nich to stwierdzenie, że nawet tak przyszłościowa działalność jak architektura i urbanistyka zaczyna nie nadążać za szybkością życia. Stwierdzić to można zresztą nie tylko w Chełmie. I wydaje mi się, że to wcale nie świadczy źle o architekturze i urbanistyce, tylko bardzo dobrze o naszym życiu. Że toczy się ono szybciej, bujniej i prężniej niż nam się wydawało, iż może się toczyć. To cieszy, napawa ufnością.

Wiele mówiono na naradzie o specyfice miasta i powiatu — cementowni w pierwszym wypadku, niezwykle dużym rozdrobnieniu gospodarstw chłopskich w drugim. Uświadomienie sobie tej specyfiki, jej zbadanie — to już kawał dobrej roboty. Teraz rzecz w tym, aby według tej specyfiki opracowywać dalsze plany. W planowaniu zbyt często posługujemy się schematami. Łatwe do zastosowania, łatwe do zatwierdzenia. Wynalezienie specyficznego rozwiązania to właśnie zadanie miejscowych architektów. Wydaje mi się, że w znacznie szerszym niż dotychczas zakresie powinni im w tym pomóc bardziej doświadczeni koledzy z Lublina.

No i jakże poszerza się zakres pracy i oddziaływania architekta w terenie. Z politechniki wyniósł wiele wiadomości — praktyka wymaga znacznie więcej. Wielkość obowiązków może i skromniejsza niż w dużym mieście, ale ich zakres bez porównania szerszy. Stąd konieczność stałego samokształcenia się, pomocy władz, kontaktów ze społeczeństwem.

Wiele jeszcze wody upłynie w Uhercie, zanim kolorowe figury geometryczne z plansz miasta zamienią się w całości w nowe domy i dzielnice. Zanim rozrzucone jak ziarna maku na drobnych poletkach chałupy wiejskie zgrupują się w nowoczesnych wsiach, wyposażonych w wodociągi i kanalizację, zasobnych w świetlice, biblioteki, domy higieny, zanim małe poletka utworzą obszary otwarte dla traktorów, kombajnów i innych maszyn, niosących wyższe zbiory, łatwiejszą pracę, lepsze życie. Ale doświadczenie 19 lat, rozpoczętych właśnie tu, w Chełmie, uczy nas, że nawet najbardziej ambitne plany potrafimy realizować szybciej, niż się to początkowo wydaje możliwe.

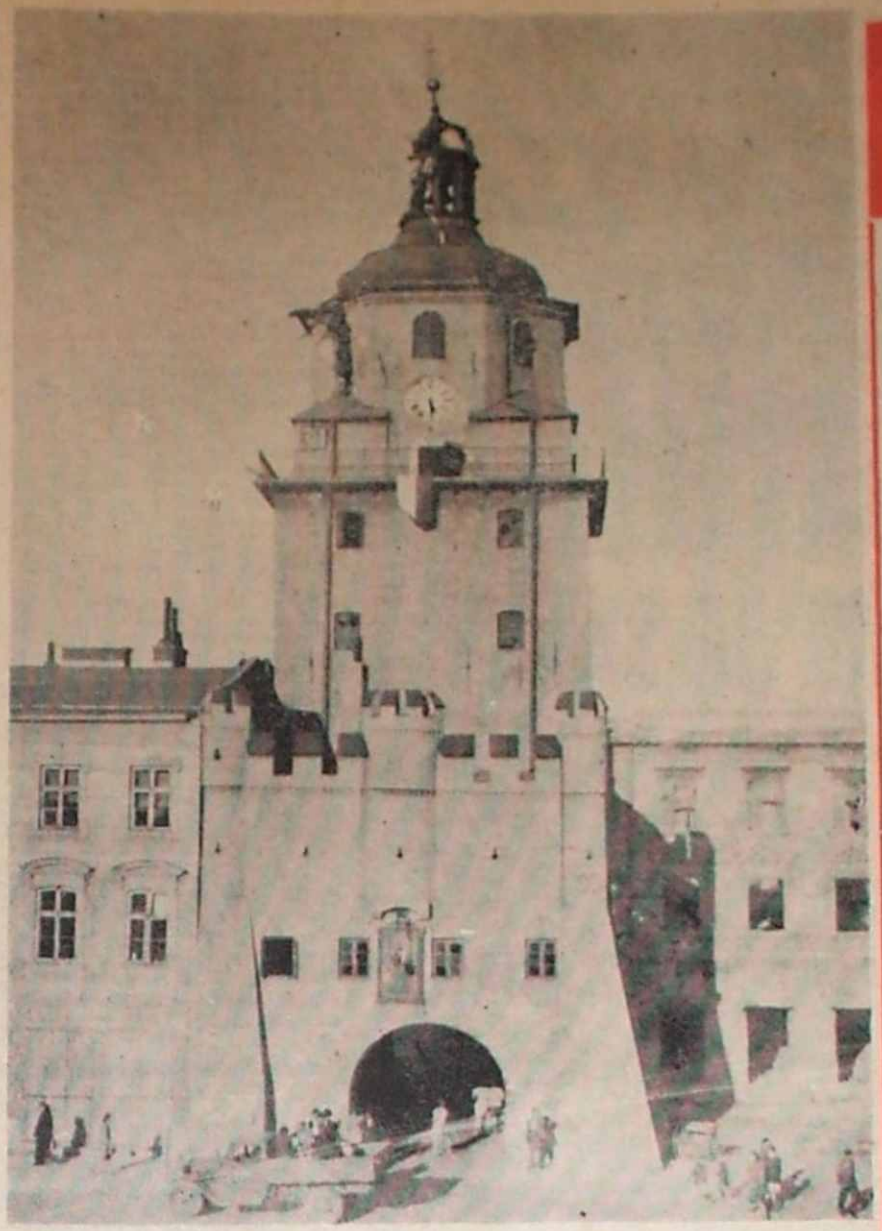

Lublin w 1944 roku. Brama Krakowska.

Lipiec 1944 roku

(Dokończenie ze str. 2)

Działacze konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej nie przerwali swej pracy. W nocy z 22 na 23 lipca 1944 r. Ludwik Czugała („Równy"), Kazimierz Markiewicz i inni postanowili dostać się do Lublina. Odbyli krótką naradę, a następnie radzieckim samochodem przebyli szybko drogę z Ostrowa do Lublina. Przede wszystkim trzeba było wyszukać siedzibę dla Wojewódzkiej Rady Narodowej. Na ten cel przeznaczono początkowo dom przy ul. Krakowskie Przedmieście nr 62. Wywieszono szyld oraz statut o organizacji rad narodowych. Po pewnym czasie przybyli tu: Bronisława Czarnotówna („Sława") — sekretarz WRN oraz delegat Krajowej Rady Narodowej — Zołna. Pierwszą ich czynnością było uruchomienie drukarni. Posypały się odezwy wzywające ludność Lubelszczyzny do pracy nad odbudową kraju ze zniszczeń.

Działacze rad narodowych i Armii Ludowej na wyzwolonych terenach organizowali władzę ludową. W Zamościu powstał Powiatowy Komitet Wyzwolenia Narodowego. W dniu 27 lipca wzywał on robotników, chłopów i inteligencję do czynnego włączenia się w odbudowę zniszczonych ziem polskich. *„Robotnicy rolni i chłopi! — czytamy w odezwie — Na was spoczywa wielkie zadanie. Nie tracąc ani chwili czasu zabierzcie się do energicznego przeprowadzenia kampanii żniwnej. Pamiętajcie o tym, że dziś zbieracie chleb nie dla wroga, lecz dla zabezpieczenia egzystencji narodu. Pracujecie na własnej Polskiej Ziemi w imię prawa i sprawiedliwości powszechnej. Wasza praca musi być przeprowadzona tak sumiennie i uczciwie, ażeby cały naród był z was dumny i był wam wdzięczny".*

Nie wszędzie można było od razu przystąpić do organizowania ogniw władzy, w południowej bowiem części Lubelszczyzny prowadzono zacięte boje. Z 27 na 28 lipca w lasach marynopolskich (powiat kraśnicki) w czasie walki części brygady im. Ziemi Lubelskiej, pod dowództwem kpt. I. Borkowskiego („Wicek") oraz kierownictwa aktywu okręgowego PPR i AL z obławą niemieckich wojsk frontowych polegli ofiarni działacze ruchu oporu: sekretarz lubelskiego Komitetu Obwodowego Polskiej Partii Robotniczej — Aleksander Szymański („Ali"), sekretarz V okręgu PPR — Wacława Marek („Pola"). Ciężko ranny został członek Obwodowego Komitetu PPR — Stanisław Szot. („Kot").

Do pierwszej stolicy Polski Ludowej przyjechał sztab Armii Polskiej z gen. dyw. Zygmuntem Berlingiem na czele. Zjawili się wówczas gen. Aleksander Zawadzki i mjr Edward Ochab. Pierwszą ich czynnością było zorganizowanie pomocy dla ludności miejskiej. Dostarczono zapasy żywności. Do Lublina przybył również delegat Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego — przewodniczący konspiracyjnej WRN — Kazimierz Sidor („Hardy").

Wojewódzka Rada Narodowa przystąpiła do wzmożonej działalności. Praca nie była łatwa. Organizowanie organów władzy ludowej należało rozpoczynać od podstaw. Na terenie miasta przystąpiono do uruchomienia zakładów produkcyjnych, elektrowni, gazowni.

Do Lublina przyjeżdżało coraz więcej osób. Działacze chętni do pracy zatrzymywali się w hotelu „Polonia", wówczas jeszcze z napisem „Soldatenheim". Na ulicach miasta spotykali się znajomi — kpt. Stanisław Jerzy Lec — poeta i satyryk, a jednocześnie partyzant, płk Ignacy Rob-Narbutt — znany aelowiec, Jerzy Borejsza, który pospiesznie montował redakcję „Rzeczypospolitej". Ignacy Witz, który przyjechał spod Puław sztabowym „Willisem", z polecenia szefa Zarządu Polityczno-Wychowawczego 1 Armii WP, szukał w Lublinie drukarni, która by mogła wykonać plakat przedstawiający żołnierza i partyzanta idących do ataku. Samoloty wciąż jeszcze na zamaskowane wojskowe lotnisko pod Chełmem przywoziły nowych pasażerów. Tak przybył Jan Huszcza, który zaraz po wyjściu z samolotu znalazł się w Zarządzie Miejskim i organizował materiały do pierwszego po wyzwoleniu reportażu o Chełmie.

W następnym miesiącu — sierpniu 1944 r., w Lublinie zjawiało się coraz więcej znanych osobistości — Józef Ozga-Michalski, malarz Jerzy Mierzejewski, poeta Adam Ważyk, na ulicach miasta spotykało się Artura Sandauera, Tadeusza Peipera, pisarzy — Rudnickiego, Parandowskiego, Jastruna i Przybosia, plastyków — Zarubę, Tomaszewskiego, Rafałowskiego i Krajewskiego, wielu architektów, muzyków i aktorów.

Wszyscy oni — działacze kulturalni jak i polityczni, robotnicy i chłopi, stanęli do twórczej pracy już w nowej rzeczywistości, w Polsce Ludowej.

Zbigniew J. Hirsz

GROMADZIĆ DOKUMENTY EPOKI

(Dokończenie ze str. 2)

A ile bezcennych dowodów świadczących o narastającej nienawiści ludu do możnych pozostało w anonimowej poezji politycznej, którą parafrazowano tu i ówdzie w latach czterdziestych, jak, np. przytoczony niżej czterowiersz na biskupa inflanckiego Kossakowskiego:

Oszukałem tron, szlachtę,
[oszukałem księży.
Nie wiedziałem, że jeden szewc
[mnie dziś zwycięży.
Biada temu, kto zechce mieć złą
[sprawę z ludem,
Urwać się z szubienicy
[chyba trzeba cudem.

Mieliśmy i w 1944 swoją anonimową poezję polityczną. Tworzyli ją fornale w czworakach. Na wieść o rozpoczętej ofensywie Czerwonej Armii nieznane ręce podrzucały ulotki zawierające tekst Manifestu drukowanego w Lublinie, owinięte w kartki z zeszytów, na których spracowana ręka wypisywała groźne memento:

Uciekajta, pany, po dobrej woli,
bo wam jutro dworus
[ten pałacyk spali.

Były i inne. Dobrze pamiętam gromadzkiego pastucha ze wsi jędrzejowskiej, który przyniósł z pastwiska „Manifest" zrzucony przez latający wysoko kukuruźnik. W mroczniejącym blasku sylabizował go przed chałupą, a cała wieś słuchała w dzwoniącej ciszy urzekających słów: „Aby zaspokoić odwieczny głód chłopa do ziemi, przeprowadzona będzie reforma rolna bez odszkodowania".

Zginął w ostatnim dniu przed wyzwoleniem Marcinek Czajor, który tegoż jeszcze wieczoru napisał płomienny wiersz o Manifeście. I utwór zawieruszył się gdzieś w nieprzytomnym rozgardiaszu pierwszych dni wolności.

Gdzież są inne utwory, pisane rękami twórców i półanalfabetów, artystów i samouków? W tysiącach domów polskich witano Lipiec jak święto ostatecznego wyzwolenia. W izbach robotniczych, na poddaszach, w ruinach i zgliszczach powstawały utwory — hymny na cześć Manifestu. W tysiącach pamiętników dziewczęcych, w zeszytach szkolnych dziewczęce i chłopięce ręce spisywały dzień po dniu dzieje Lipca.

Czytałem nie tak dawno nabrzmiały gorącym uczuciem pamiętnik pensjonarki z tamtych dni. Autorka wiernie opisała własne i bliskich swoich przeżycia. Świeże, gorące słowa, szlachetny, piękny patos.

Ileż jeszcze takich utworów obrazujących atmosferę panującą w naszym kraju w drugiej połowie 1944 r. pozostaje nie odkrytych z krzywdą dla historii najnowszej.

Wolno twierdzić, iż dobrym uczczeniem Dwudziestolecia będzie zebranie wszystkich tych dokumentów i opublikowanie ich w lipcu 1964 r.

Należy zaapelować do wszystkich entuzjastów — miłośników regionów, do zbieraczy, amatorów — etnografów, przyjaciół muzeów, do starszych, a zwłaszcza do młodzieży, aby w skrzętnym zbieraniu wszystkich dokumentów tej wielkiej epoki dopomogli.

Waldemar Babinicz

Stoisko Wydawnictwa Lubelskiego na VIII Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie

LUBELSKIE OKNO NA ŚWIAT

ROMAN ROSIAK

Kamena 1963 nr 13 s. 10-15

WSZYSTKO zaczęło się bardzo skromnie i prozaicznie. W dniu 3 lutego 1957 roku zespół działaczy regionalnych powołał do życia Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą. Już siedem tygodni później, a więc 24 marca, wydany został pierwszy numer popołudniowej gazety — „Kuriera Lubelskiego". To była podstawowa dziedzina działalności LSW. Obok tego prowadzono dwa zakłady poligraficzne, które wraz z Biurem Ogłoszeń zabezpieczały byt młodej placówce. Pomyślano też o książkach, przy czym rzecz jasna działalność w tym zakresie musiała być początkowo marginesowa. W roku 1957 wydano tylko cztery pozycje, ale już lata następne były obfitsze w plony (m. in. w r. 1959 ukazała się redagowana przez Marię Bechczyc-Rudnicką książka pt. „W stołecznym Lublinie", zbiór wspomnień literatów i artystów, którzy przebywali na terenie Lublina w okresie PKWN).

Przełom nastąpił w styczniu 1961 roku, kiedy po zlikwidowaniu Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej Ministerstwo Kultury i Sztuki powołało na jej miejsce przedsiębiorstwo państwowe pod nazwą Wydawnictwo Lubelskie. Decydującym momentem było to, że działalność nowej placówki miała się ograniczyć wyłącznie do produkcji książek. Musiało to oznaczać wzrost zarówno ilościowy, jak i jakościowy publikacji książkowych. Wystarczy wspomnieć, że o ile w roku 1957 wydano 4 książki, o tyle w roku 1962 było ich 42, zaś w styczniu 1963 roku ogólna liczba wydanych książek przekroczyła 100 tytułów. To samo da się powiedzieć i o nakładzie (w przyszłym roku łączny nakład książek WL przekroczy milion egzemplarzy), objętości (obecnie sięga ona 1000 arkuszy wydawniczych) czy też wartości (jeszcze w bieżącym roku przekroczy ona wartość 10.000.000 zł). Jedno jest pewne: dynamiczny rozwój młodej lubelskiej placówki wydawniczej szybko rozwiał wszelkie wątpliwości co do ewentualnych zapytań na temat zaplecza autorskiego. Okazało się bowiem, że na terenie tylko naszego województwa jest wiele prac wartościowych, które zasługują na publikację.

Szybko też, bo już w 1961 roku pomyślano o nawiązaniu współpracy z województwami: białostockim, kieleckim i rzeszowskim, które na wniosek Wydawnictwa od stycznia 1962 r. zostały objęte zasięgiem jego działalności.

To wyjście poza własne podwórko było ze wszech miar słuszne. Potwierdzenie zresztą przyniosła podpisana później przez przedstawicieli czterech województw tzw. nowa „unia lubelska", wydająca owoce w postaci zacieśniającej się więzi społecznej, kulturalnej i gospodarczej ziem dawnej Polski B.

Drugim momentem, który warto podkreślić, była zmiana struktury Wydawnictwa, jego profilu. Z roku na rok Wydawnictwo staje się coraz bardziej widoczną instytucją, która inicjuje i koordynuje ruch wydawniczy. Zdecydowana większość pozycji w planach WL to tytuły inspirowane przez samo Wydawnictwo, które wypracowało sobie profil i perspektywiczny plan publikacji. Zadaniem tego planu jest systematyczne zaspokojenie potrzeb Lubelszczyzny, jak również w coraz większym stopniu województw z nią sąsiadujących w dziedzinie produkcji wszelkiego typu publikacji. Warto bowiem podkreślić, że wśród pozycji, które Wydawnictwo oddaje do rąk czytelników, znajduje się zarówno literatura piękna, jak i popularno-naukowa, książki dla dzieci i młodzieży, albumy, wydawnictwa specjalistyczne itd.

Gdyby należało wskazać dziedziny najbliższe Wydawnictwu — niewątpliwie trzeba by było wymienić publikacje związane z okresem okupacji hitlerowskiej oraz twórczość ludową. Przybliżone rozmiary produkcji rocznej dadzą się natomiast zamknąć następującymi cyframi: ok. 50 książek o łącznej objętości ok. 300 arkuszy, o nakładzie 300 000 egz. i wartości 3.000 000 zł.

Spróbujmy teraz krótko przedstawić poszczególne działy i serie wydawnicze, wymienić ciekawsze pozycje, zasygnalizować plany na przyszłość. Zacznijmy od historii. Tutaj najbardziej popularna jest chyba seria Źródeł i materiałów do dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie (1943—1944). Z serii tej ukazały się dotychczas 3 książki: „Gwardia Ludowa i Armia Ludowa na Lubelszczyźnie" (książka otrzymała II nagrodę Ministra Obrony Narodowej), „Bataliony Chłopskie na Lubelszczyźnie" (I nagroda „Polityki"), „Kalendarium walk Gwardii Ludowej i Armii Ludowej na Lubelszczyźnie". W druku znajduje się tom IV pt. „Ja, syn ludu polskiego...", na który składają się relacje żołnierzy GL i AL. Również w roku bieżącym ukaże się tom V — Kalendarium walk BCh. Na lata 64/67 planuje się dalszych kilka tomów z tej serii, a więc: wspomnienia działaczy BCh, materiały dotyczące działalności AK, antologię lubelskiej prasy konspiracyjnej, źródła niemieckie do dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie itd. Nie ulega wątpliwości, że seria ta (jedyna tego typu w Polsce, jeśli chodzi o skalę wojewódzką) po latach stanie się prawdziwym pomnikiem bohaterskiej postawy społeczeństwa Lubelszczyzny w okresie okupacji hitlerowskiej.

Inną popularną serię z dziedziny historii stanowią publikacje opatrzone pieczątką: Tysiąclecie Państwa Polskiego. Lubliniana. Są to materiały z sesji powiatowych, przyczynki i monografie miast, bądź też pewnych problemów związanych z przeszłością Lubelszczyzny. Dotychczas ukazało się 10 pozycji, wśród nich prace o Lukowie, Parczewie, Janowie, Puławach, Zamościu, Chełmie itd. Planuje się nadal wydawanie rocznie około dwóch — do czterech pozycji.

Do najpoważniejszych publikacji historycznych należy „Rocznik Lubelski", organ PTH, którego 4 tomy już wyszły, 5 zaś znajduje się w produkcji. Również wspólnie z PTH Wydawnictwo rozpoczęło cykl publikacji pod nazwą Studia nad dziejami Lublina i Lubelszczyzny.

Istotną pozycję w planach WL zajmują też pamiętniki. Wystarczy w tym miejscu wspomnieć „Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny" Z. Klukowskiego (I nagroda „Polityki") czy „Wojnę, ludzi i medycynę" A. Majewskiego, nie mówiąc o bogatych planach, m. in. jeszcze tegorocznych dwóch pozycjach: pamiętniku partyzanckim E. Gronczewskiego („Przepiórki") i pamiętnikach powstańców 1863 roku na Lubelszczyźnie.

Osobne miejsce należy się Majdankowi. Obok cyklu pamiętników byłych więźniów obozów koncentracyjnych, a więc: K. A. Jaworskiego „Serca za drutem" (Sachsenhausen), Z. Abramowicz „Tak było" (Ravensbrück, Oświęcim) coraz częściej pojawiają się książki o lubelskim obozie zagłady: T. Garczyński „Więzień nr 3873", T. Czajka „Czerwone punkty", M. Gryta „Byłem numerem" (II nagroda „Polityki"), „Listy z Majdanka" J. Putrament, „Fabryka śmierci" i in. W planach i produkcji znajduje się szereg dalszych tomów, przy czym szczególnie podkreślić należy album „Majdanek". Jeszcze w roku bieżącym ukaże się pierwszy tomik z cyklu Biblioteki Majdanka, na którą składać się będą popularno - naukowe pozycje poświęcone badaniom nad dziejami tego obozu. Efektem końcowym tych prac będzie oczywiście monografia obozu na Majdanku.

Na uwagę zasługuje także Biblioteka Społeczno - Polityczna, w której ukazało się już 12 tomików poświęconych dziejom SFP, PPR i innym problemom społecznym czy politycznym naszego regionu. Tu również pisnuje się publikowanie około 5 pozycji rocznie potrzebnych przecież nie tylko w pracy propagandowej, ale również i dla celów badawczo-historycznych.

Jeśli chodzi o pedagogikę — reprezentuje ją „Lubelski Rocznik Pedagogiczny", którego I tom znajduje się już w druku oraz „Logopedia" — pismo poświęcone kulturze żywego słowa, którego 4 wydane już zeszyty spotkały się z dużym zainteresowaniem nawet poza granicami Polski, (jest to jedno z nielicznych tego typu czasopism w Europie).

Wydawnictwa regionalne to przede wszystkim „Kalendarz Lubelski", który ukazał się już sześć razy i stanowi niewątpliwie jedno z najpoważniejszych źródeł wiedzy o aktualnych problemach Lubelszczyzny. Poza tym rokrocznie Wydawnictwo publikuje szereg pozycji okolicznościowych.

Wreszcie kilka słów trzeba poświęcić literaturze pięknej. Pierwszy cykl w zakresie prozy stanowią powieści biograficzne poświęcone wybitnym ludziom naszego regionu. Ukazały się dotąd dwie: M. Warneńskiej „Wiatr za progiem" K. Jabłońskiej „Oktawia". W planie znajdują się następne cztery książki o S. F. Klonowicu, F. Morzyckiej, J. I. Kraszewskim oraz B. Prusie.

Cykl opowiadań poświęconych historii naszego miasta otrzymał nazwę „Interludia lubelskie". Zapoczątkował go tomik H. Platty „Wieki". Inny cykl stanowią tomiki opowiadań o różnej tematyce, wśród których znalazły się m. in. pozycje W. Gralewskiego, S. Wolskiego, J. Danielaka i in. Jeśli chodzi o prozę — niezależnie od wymienionych serii — plany przewidują publikacje zbiorków reportaży, powieści, pamiętników literackich itd. Ten ostatni rodzaj znalazł zresztą dość licznych przedstawicieli, podejmujących szczególnie chętnie problematykę XX-lecia międzywojennego (K. Bielski „Most nad czasem", W. Mrozowski „Cyganeria", W. Gralewski „Ogniste koła").

Poezja jest reprezentowana przez Lubelską Bibliotekę Poetycką, w której ukazało się już 20 tomików, m. in. Z. Stroińskiego „Okno", „Ponidzie", „Prom" i in.

Osobne miejsce zajmuje twórczość Józefa Czechowicza. Wydawnictwo jeszcze w roku bieżącym odda obszerny, liczący ponad 500 stron pierwszy tom dzieł zebranych poety pt. „Wiersze". W przygotowaniu, bądź w planach znajdują się tomy prozy artystycznej, dramatów, publicystyki, listów, wspomnień o Czechowiczu oraz rozpraw jemu poświęconych. Po wydanym już bibliofilskim tomiku „Fraszek" jeszcze w roku bieżącym Wydawnictwo odda do rąk czytelników „Poemat o mieście Lublinie" Józefa Czechowicza, który także będzie stanowił pozycję z pewnością poszukiwaną przez miłośników pięknej książki. Nie koniec na tym, w roku 1964 ukaże się ponadto trzeci bibliofilski tomik pt. „Prowincja noc". I wreszcie Czechowicz dla najmłodszych czytelników. Powodzenie dwu pierwszych bogato ilustrowanych książeczek dla dzieci: „Jak groch wędrował" i „Bawię braciszka" pozwoliło Wydawnictwu na wstawienie do planu bo. dwu następnych: „Jesień" i „Przy sianokosach" (o łącznym nakładzie 130 000 egz.), podobnie zresztą wygląda sytuacja, jeśli chodzi o lata następne. W ten sposób twórczość Czechowicza zostanie w możliwie szybkim czasie w pełni udostępniona i spopularyzowana, osiągając niebagatelny nakład ponad pół miliona egzemplarzy.

Warto jeszcze wspomnieć o serii publikacji z zakresu historii literatury i języka. Po „Ludzie serbskim w powieściach T. T. Jeża" St. Papierkowski przekazał do druku studium o języku B. Leśmiana, S. Warchoł opracował nazwy miast Lubelszczyzny oraz A. Grychowski „Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich".

Sztuka jest ilościowo reprezentowana najskromniej w planach WL, ale tradycje pięknego albumu Z. Kononowicza z pewnością będą podtrzymywać takie pozycje, jak album „Majdanek", bądź też dwa albumy białostockie poświęcone PPR oraz ruchowi oporu i martyrologii.

Wymienione serie i cykle nie wyczerpują jeszcze wszystkich inicjatyw i planów WL, z roku na rok z mie-

(Dokończenie na str. 15)

Dlaczego „regionalne"?

W CZASIE VIII Międzynarodowych Targów Książki pojechałem do Warszawy, by zobaczyć ekspozycję Wydawnictwa Lubelskiego. Kupiłem jak zwykle, informator — od tego przecież powinno się zaczynać zwiedzanie wszelkiego rodzaju wystaw i targów. Ciekawość, ten pierwszy stopień do wiedzy, ciągnie do swoich. Wertuję katalog, szukam, wreszcie znalazłem. Stoisko 110. „Wydawnictwo Lubelskie. Lublin, ul. 3 Maja 14, tel. 31-44. Literatura regionalna" (napis w dwu obcych językach). Zelektryzowała mnie od razu myśl: na pewno będziemy w jakiejś dziurze. Czyż bowiem reprezentant tylko literatury regionalnej może znaleźć się na lepszym miejscu w międzynarodowych targach?

Tu jest potrzebna bardzo pobieżna analiza definicji słowa „regionalizm". Mała Encyklopedia Powszechna PWN wyjaśnia: — regionalizm — to „dążenie do zachowania w obrębie jednego narodu lub państwa odrębności kulturalnej, obyczajowej, niekiedy (Baskowie, Bretończycy), opartej na starych tradycjach plemiennych, historycznych...". Istnieje jeszcze cały szereg podobnych wypowiedzi w innych encyklopediach. Czy w myśl przytoczonej definicji należy sądzić, że Wydawnictwo Lubelskie, zajmujące się tylko literaturą regionalną, dąży do zachowania odrębności swego województwa w stosunku do innych... Czy wszystko to, co oddaje do rąk czytelników interesuje tylko niewielki krąg ludzi i wreszcie, czy rzeczywiście tematyka, jaką podejmuje Wydawnictwo, jest tylko regionalna (w sensie — lubelska) czy też jest czymś więcej — gdy stanowi często cząstkę historii całego ruchu robotniczego, historii Polski lub też historii literatury. Nie chodzi nam tu o długie wywody, analizę słowa, wzajemne przekonywanie się, chociaż byłoby to wszystko przydatne, wróćmy lepiej na teren Targów.

Długo musiałem jeszcze krążyć po olbrzymich sektorach, zanim odnalazłem miejsce, którego szukałem. Pomyślałem sobie: znalazł się abderyta, który już nie mógł gorzej zaplanować. Ale to tylko tak przez zdenerwowanie, bo przecież chciałoby się, by wszystko co nasze było w najlepszym miejscu. Po krótkim narzekaniu na plan Targów przed swą rozmówczynią w stoisku lubelskim zainteresowałem się książkami. Na pierwszy rzut oka chciałem znaleźć wszystko, co regionalne. Ale przyznać się muszę, że nie znalazłem regionalizmu. Olbrzymie tomy przyciągały wzrok. „Ruch oporu na Lubelszczyźnie", „Bataliony Chłopskie na Lubelszczyźnie", „Kalendarium walk Gwardii Ludowej i Armii Ludowej" — to seria, której książki uzyskiwały ogólnopolskie nagrody „Polityki" w dziedzinie dokumentów. Są to źródła historii najnowszej. Trudno nawet wyobrazić sobie dzieje Polskiej Partii Robotniczej, Gwardii Ludowej i Armii Ludowej bez Lubelszczyzny, na terenie której tysiące gwardzistów, a później aelowców, toczyło najcięższe boje z okupantem. O walkach w Rąblowie, lasach janowskich i Puszczy Solskiej pisze dzisiaj wiele osób, tematykę podejmują poważne wydawnictwa w kraju, i na pewno nie wierzą w to, że to są zagadnienia tylko regionalne. Czy można wyobrazić sobie na przykład historię rad narodowych z pominięciem Lubelszczyzny? 18 lutego 1944 r., podczas gdy inne województwa borykały się z trudnościami organizacyjnymi, na Lubelszczyźnie, w chłopskiej chacie Kasperczuka w Rudce Kijańskiej, działacze zaprzysięgli wierność idei rad narodowych, postanowili kontynuować tradycje pierwszej na ziemiach polskich — lubelskiej Rady Delegatów Robotniczych. Kilkumiesięczna działalność Konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej, to wycinek historii nie tylko regionu, ale całego ruchu postępowego.

Dobrze się więc dzieje, że w wielu przyszłych publikacjach — m. in. w albumie „Walka — Gwardia Ludowa i Armia Ludowa" (Wyd. MON, 1963 r.), w pierwszym tego rodzaju polskim wydawnictwie albumowym, autorzy nie szczędzili kart Lubelszczyźnie; że laureatem nagrody ministra Obrony Narodowej został Włodzimierz Kotowicz, który w książce „Godzina przed świtem" przedstawił dzieje oddziału partyzanckiego operującego na Podlasiu i Lubelszczyźnie. Z dumą można stwierdzić, że wydarzenia na Ziemi Lubelskiej wybiegają daleko poza ramy tematyki tylko regionalnej.

Inny cykl książek — to wspomnienia i pamiętniki. „Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny" Zygmunta Klukowskiego — tragiczne dzieje ludności szczebrzeszyńskiej, to dokument zbrodni hitlerowskich. Książka otrzymała I nagrodę „Polityki". Błyskawicznie zginęła z półek „Wojna, ludzie i medycyna" Adama Majewskiego. Książka której drugie wydanie odłożono ad calendas graecas. Autor, lekarz, w swej bogatej w wydarzenia relacji przedstawił trasę 3 Batalionu Strzelców Karpackich — Polska (wrzesień 1939), Węgry, Wielka Brytania, Bliski Wschód, Monte Cassino.

Nie sposób pominąć pamiętników okupacyjnych. „Więzień nr 3873", „Czerwone punkty", „Tak było", „Byłem numerem" — to kartki obrazujące martyrologię narodu polskiego, co do którego istniał plan eksterminacji zrealizowany przez Komisarza Rzeszy do spraw Umocnienia Niemczyzny — Reichsführera SS Himmlera. Obozy koncentracyjne zgodnie z intencją dra Hansa Franka były właściwym miejscem terroryzowania i stracenia wielu tysięcy ludności tak żydowskiej jak i słowiańskiej.

Jeśli chodzi o ekspozycję literatury, to śmiało można powiedzieć, że poezja i proza przedstawiała się równie interesująco, jak wydawnictwa polityczno-społeczne. Wydawnictwo Lubelskie może poszczycić się małymi tomikami, poświęconymi poezji ludowej, które, być może, w przyszłości staną się — jak czeskie „Kwety poezie" (wydawane przez Mladá Fronta) — „kwiatami poezji ludowej". W młode środowisko literackie, nie mniej ciekawe i godne uwagi, wprowadza Biblioteka poetów lubelskich, w której znajdujemy wiele nowych nazwisk.

Okres dwudziestolecia międzywojennego, który coraz częściej przyciąga pióra piszących, doczekał się częściowego odzwierciedlenia w pamiętniku „Most nad czasem". Autor, Konrad Bielski, poeta, znany z łamów „Reflektora", „Przeglądu Lubelsko-Kresowego", i „Kameny", w pamiętniku wydanym przez Wydawnictwo Lubelskie, ukazał na tle społeczno-obyczajowym życie kulturalne Lublina w latach 1919—1931.

Z krótkiego przeglądu publikacji można już wyciągnąć wniosek, że mimo niezbyt szczęśliwej nazwy — regionalne — Wydawnictwo ma dużo większe znaczenie ambicje. Ze profil wydawniczy — literatura polityczno-społeczna, historia literatury, proza i poezja, szczególne zainteresowanie twórczością ludową, odpowiada na pewno sąsiednim województwom, które przystąpiły do nowej, współczesnej lubelskiej unii kulturalnej.

Z. Hirsz

BAKCYL TURYSTYKI

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

FURGONETKA trzęsie nas i tłucze w swym wnętrzu niemiłosiernie, niczym kuter na pełnym morzu. Zjechaliśmy już ze ślicznej asfaltowej szosy do Suwałk. Wreszcie jeszcze jeden rzut na szoferkę, trochę kurzu i...

— Dobra, możemy wysiadać — mówi Zygmunt. Biorę przydzielony mi uprzednio namiot, materac, koce i z całym tym majdanem szukam dogodnego miejsca na własne, małe obozowisko. Dookoła tłok. Różnokolorowe namioty stoją grupami po kilkanaście, ogrodzone linką i nie; przed nimi emblematy z darni i szyszek. Pośrodku placu dwa większe, kilkunastoosobowe — komendantura obozu i „lazaret".

— Rozbij się tu, koło nas na skarpie — radzi Zygmunt.

Idzie mi to trochę niesporo (gdzież to dawne, harcerskie czasy, hej!). Wreszcie namiot jako tako stoi.

— Radzę rozluźnić trochę linki, w nocy może być deszcz.

Zobaczyłem nad sobą opaloną na brąz facjatę.

— Acha, poznajcie się — woła z wnętrza swego namiotu Zygmunt — to jest Komendant, czyli Wódz, a to taki sobie pismak, ale przeszkadzać nie będzie.

Ani mi to w głowie, myślę. Zaraz biorę wędki i idę na ryby.

Ale nie doszło do tego. Mimo woli zostałem wciągnięty w wir życia obozowego. Najpierw więc przyglądam się zawsze frapującemu otwarciu obozowiska. Wódz zdaje raport Zygmuntowi:

— Obóz Międzyszkolnego Zlotu Kół Turystyczno-Krajoznawczych gotów do otwarcia!

Potem przemawia Zygmunt. Mówi o dotychczasowych osiągnięciach międzyszkolnej turystyki i o założeniach obecnego zlotu.

Potem poczet sztandarowy w barwnych kurpiowskich strojach przy uroczystym milczeniu wciąga flagę na maszt.

Oficjalne otwarcie zlotu dokonało się. Czas wreszcie wyjaśnić, gdzie się znajdujemy. Otóż jest to wojewódzki zlot reprezentacji młodzieży szkół podstawowych i średnich, połączony z finałem konkursu historycznego na temat powstania styczniowego. Poprzedzony był on eliminacjami powiatowymi i okręgowymi, obecnie jest jego finał dla pięcioosobowych reprezentacji ze szkół wszystkich powiatów Białostocczyzny. Miejsce akcji — półwysep o wdzięcznej nazwie „Goła Zośka", w pobliżu Augustowa.

Pośpiesznie jemy kolację, bo znad jeziora dochodzi już śpiew:

Płonie ognisko i szumią knieje
Drużynowy jest wśród nas.....

Siadamy trochę z tyłu, poza kręgiem. Młody konferansjer gaffuje z tremy:

— Nasza szkoła przedstawia program składający się z dwóch części: poświęconej powstaniu styczniowemu i rozrywkowej. A teraz nasza koleżanka wykona piosenkę powstańczą pod tytułem „Czarny szal".

Potem trochę wierszyków, trochę fragmentów, prozy powstańczej, wspomnień gdzieś zasłyszanych, czy przeczytanych, znów pieśń. W części rozrywkowej m. in. stary, odgrzany trochę harcerski skeczyk „Miłość ci wszystko przebaczy", w wykonaniu dziesięcioletnich maluchów. Bardziej od małych wykonawców denerwują się nauczyciele — opiekunowie grup. To trochę ich „pokaz sprawności".

Dochodzi jedenasta. Jest parno. Deszcz jakoś nie pada, więc siadamy przed komendą na ostatniego papierosa.

— Czy wiecie, zaczyna Komendant, jaka legenda związana jest z tym miejscem, gdzie teraz jesteśmy?

Oczywiście nie wiemy.

— Otóż nazwa „Goła Zośka" pochodzi ponoć jeszcze z czasów napoleońskich. Piękna Sophie, markietanka przy wojskach „małego kaprala", poznała za ich tu bytnością pięknego pasterza i zapałała doń szaloną i co ważniejsze, odwzajemnioną miłością. Przynosiła mu tutaj jedzenie i wiedli długie rozmowy. Ale sielanka się kończyła, czas był z wojskiem dalej podążać na Moskwę. Ale nieprzygotowanych Francuzów zaatakowali znienacka Rosjanie i rychło rozstrzygnęli potyczkę na swoją korzyść. Resztki francuskiego zgrupowania schroniły się tutaj. Zosinego kochanka uznano za rosyjskiego szpiega, a ją samą za winną zdrady stanu. No i poniosła za swoją miłość straszliwą karę: śmierć przez rozszarpanie. Rozebrano ją do naga, nachylono dwie sosny i do czubka każdej przywiązano markietankę za ręce i nogi...

— Brr! — Wstrząsnąłem się mimo woli. — Takie to makabryczne baśnie opowiada się o tym półwyspie.

Następnego dnia wyraźnie zanosi się na deszcz. Mimo to już rankiem grupy młodzieży wyruszają na różne szlaki wycieczek po najbliższej okolicy, zwiedzając Puszczę Augustowską, okolice miasta i sam Augustów. Wreszcie po obiedzie najważniejsze zajęcia: finał konkursu historycznego. Najpierw uczestnicy odpowiadają na dziesięć pytań na piśmie. Np. „Wymień pamiątki powstańcze znajdujące się na terenie naszego województwa", albo: „Jakie były programy „Białych" i „Czerwonych". Potem, po żmudnych obliczeniach komisji zwycięzcy przechodzą do eliminacji ustnych. Odbywają się one systemem zgaduj-zgaduli. Na karteczce trzy pytania, czas ograniczony. Emocji dużo, niemal tyle, co w sporcie, podpowiadania natomiast mniej. Profesor, który prowadzi konkurs powiedział z humorem: „Tu nie szkoła, nie podpowiada się". No i już mamy zwycięzców. W zespołach najlepszymi okazali się uczniowie ze Szkoły Podstawowej w Śniadowie, powiatu łomżyńskiego oraz Technikum Ekonomicznego z Białegostoku.

Tymczasem deszcz się jednak rozpadał. Trzeba niestety zrezygnować z niektórych atrakcji na wolnym powietrzu (jak na przykład z uroczystego ognika) i myśleć o powrocie. Korzystam z obecności Naczelnika i prowokuję rozmowę.

— Naszym głównym zadaniem — mówi Naczelnik, jest zarażenie młodzieży bakcylem turystyki i krajoznawstwa. To zadanie spoczywa całkowicie na naszych barkach, ponieważ w myśl zarządzenia Ministerstwa Oświaty młodzież szkolna nie może należeć do PTTK. Staramy się godzić przyjemne z pożytecznym i łączymy nasze akcje z aktualnymi wydarzeniami dnia, lub wprowadzamy inne walory poznawcze.

Czas zbierać się do odjazdu. Furgonetka łącząca nas ze światem, a w każdym razie z dworcem, trąbi już niespokojnie. Ostatnie pożegnania, uściski rąk i ładujemy się do jej wnętrza. Z grupki namiotów dochodzi śpiew, na przekór pogodzie, bo deszcz ciągle siąpi:

Lato, lato, lato czeka
Razem z latem czeka rzeka...

Chętnie by się tu jeszcze zostało. Cóż, do zobaczenia w przyszłym roku!

Na zakończenie osoby występujące, w kolejności ukazywania się:

Zygmunt — mgr Zygmunt Ciesielski, kierownik Szkolnego Wojewódzkiego Ośrodka Krajoznawczo-Turystycznego.

Komendant, albo Wódz — mgr Ryszard Jędrzejewski, nauczyciel Liceum Ogólnokształcącego w Augustowie.

Profesor — prof. Józef Dańkowski, historyk.

Naczelnik — Aleksander Wróbel, Naczelnik Działu Wychowania i Opieki nad Dzieckiem Kuratorium Okręgu Szkolnego w Białymstoku.

LUBELSZCZYZNA NIEZNANA

LESŁAW GNOT

Kiedy letnie słońce obudzi w nas przemożną chęć turystycznej włóczęgi, zaczynają się nam śnić wyniosłe Tatry, złoty piasek morskiego wybrzeża lub rozlewiska jezior mazurskich usiane białymi skrzydłami żagli... Wzdychamy do tamtych, dalekich regionów nie zdając sobie sprawy z tego, że tuż pod bokiem mamy nie mniej atrakcyjne tereny, obiekty i krajobrazy.

Zresztą nie tylko my grzeszymy taką niewiedzą. W odczuciu ogromnej większości miłośników turystyki w Polsce — włóczęgów i trampów, pieszych, rowerowych i tych zmotoryzowanych w województwie lubelskim, poza Kazimierzem nie ma nic godnego uwagi i zwiedzenia.

Skąd taka opinia?

Przecież bez cienia przesady i lokalnej megalomanii można po niewielkim nawet zwiadzie turystycznym stwierdzić rzecz wprost przeciwną. Mało jest w Polsce województw równie atrakcyjnych pod względem turystycznym jak Lubelszczyzna!

Bogactwo różnorodnych, często zupełnie odrębnych regionów geograficznych, bogactwo zabytków historycznych, piękna architekura, ciekawy folklor ludowy — oto niepełna lista walorów turystycznych Lubelszczyzny.

W którąkolwiek stronę województwa skierowalibyśmy swe kroki, czekają nas setki niezapomnianych wrażeń.

Na południu pomiędzy Zamościem, Biłgorajem a Tomaszowem leży Roztocze, region jedyny w Polsce. Maleńka to wyżyna — nie napotkasz tu wysokich gór, masywów leśnych, ni potężnych rzek. Ale rozfalowane we wszystkie strony pagórki, lasy i zagajniki przeplatane polami, maleńkie rzeczki biegnące kręto piaszczystymi korytami tworzą barwną, urzekającą pięknem mozaikę krajobrazów. Co krok otwierają się przed wędrowcem nowe widoki, co chwilę zmienia się wszystko jak w kalejdoskopie. Piękne, bardzo piękne jest lubelskie Roztocze...

Na wschód od Lublina wkraczamy na pojezierze. Tak, tak właśnie na Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie. Jeziora tu co prawda mniejsze, niż na Mazurach, ale ich oprawa — piękne, rozległe lasy — nie ustępuje tamtym z całą pewnością.

W kierunku północnym „trójkąt" Puławy — Kazimierz — Nałęczów. Piękno architektury i echa historii, wielkie duchy literatury i rzesze malarzy odkrywających wciąż na nowo czar nadwiślańskiego pejzażu. Najbardziej to znany i modny obiekt turystyczny. Ale i tu znajomość ogranicza się z reguły do kazimierzowskiego rynku i parku oraz kawiarni w Nałęczowie. A to przecież tak mało w stosunku do ogromnych możliwości.

A inne obiekty turystyczne? Renesansowy Zamość, dziesiątki pięknych pałaców, starych kościołów i cerkiewek. A pola bitew powstania styczniowego na Podlasiu i szlaki partyzanckie w Puszczy Solskiej i lasach parczewskich.

To wszystko Lubelszczyzna nieznana, czekająca dopiero na odkrycie przez tysiące miłośników piękna poznawanego drogą turystycznych wędrówek.

Niewielu mamy „Kolumbów" podejmujących ryzyko wędrówki w nieznane. Najczęściej decyduje tu wiedza o walorach i cechach danego regionu turystycznego, decyduje umiejętna propaganda tych wartości. I tu chyba dochodzimy do sedna powodów, z jakich niezaprzeczalne walory Lubelszczyzny nie są znane nie tylko w Warszawie, Rzeszowie, na Śląsku, ale również u nas — w Lublinie. Po prostu nic, albo prawie nic o tym nie wiemy.

Nieodparcie więc nasuwa się potrzeba turystycznego przewodnika po Lubelszczyźnie. Przewodnika takiego nie mamy. Co prawda 5 lat temu ukazało się tego typu wydawnictwo. Owszem, bardzo rzetelnie i gruntownie opracowane przez fachowców dysponujących dużym zasobem wiedzy o historii i zabytkach Lubelszczyzny. Ale już sama szata graficzna przewodnika odstraszała od jego użycia. Wszystko niesamowicie stłoczone, reprodukcje zdjęć nadmiernie pomniejszone, fatalnie wydrukowane, przekreślały swym wyglądem oddziaływanie przewodnika. Były antyreklamą piękna Lubelszczyzny. Przewodnik ten nie uwzględniał ponadto szeregu zasadniczych dla ruchu turystycznego elementów, nie mówił ani słówkiem o tym,

(Dokończenie na str. 15)

Kazimierz n/Wisłą — Stara studnia

Kołatam do drzwi przymkniętych...

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

W TEATRACH między sezonami jest jak w świecie między wojnami bezatomowymi: spoczywanie na umowach i jakieś podskórne nurty niezgodne z oficjalnymi enuncjacjami. Lato, lato... Dyrektorzy są u wód, administracja ślęczy nad papierami i papierkami, zespół techniczny kształci się wycieczkami, aktorzy dorabiają lepszą lub gorszą chałturką, recenzenci przymykają oczy, oddając się słodkiemu próżnowaniu. Moment wielce odpowiedni na refleksje po szkodzie i przed potencjalnymi szkodami przyszłymi.

Pierwszą troską popularyzującą się ostatnio w prasie stał się „dyrektorski kontredans". Poszczególni dziennikarze i publicyści gotowi są upatrywać w nim, jak Witold Filler („Polityka" nr 27), niemałe niebezpieczeństwo dla sceny polskiej. Ponoć w tym roku aż osiemnastu dyrektorów przenosi swoją energię organizacyjną na inne placówki teatralne het daleko od poprzedniej. Fakt na pewno niepokojący.

Nie bierzmy jednak symptomu za źródło schorzenia i powiedzmy sobie wyraźnie: sedno sprawy nie w sezonowych migracjach dyrektorskich, problem jest chyba znacznie poważniejszy.

Przede wszystkim nasuwa się pytanie: czemuż się tak dzieje, że wieść o pozostaniu albo wyjeździe dyrektora wywołuje w teatrze X, Y czy Z wstrząsy iście tektoniczne (a to nie ulega wątpliwości)? Oczywiście można odpowiedzieć drastycznie: dlatego, że gdy zły dyrektor zostaje, muszą odejść ci członkowie zespołu, którzy mu się narazili, gdy zaś wyjeżdża, odchodzą ci, co boją się przyjścia jeszcze gorszego. Ale taka odpowiedź nie wyjaśnia kwestii zasadniczej: jak może dojść do tego, że w teatrze, placówce artystycznej pracującej z natury rzeczy arcykolektywnie, jedna osoba stanowi, według przysłowia francuskiego — o deszczu i dobrej pogodzie.

Pisze Filler: „...metamorfoza gustów spowodowała przeogromny wzrost autorytetu i rzeczywistego znaczenia ludzi, przed laty dla widowni zgoła obojętnych: dyrektorów... Widz współczesny coraz częściej idzie do teatru Dejmka, czy też do teatru Axera...".

Śmiem wątpić. Gdyby tak było naprawdę, przytłaczająca większość teatrów cywilizowanego świata stałaby pustkami. Ileż to bowiem nazwisk teatralnych demiurgów można wymienić robiąc przegląd w skali światowej? Proszę: teatr Szekspira, teatr Moliera, teatr Bogusławskiego, Stanisławskiego, Komissarżewskiej, Wachtangowa, Antoine'a, Osterwy, Schillera, Brechta, Jouveta, Vilara, Barraulta, Planchona — no jeszcze kilka. Nie łudźmy się zatem mniemaniem, jakoby indywidualność wszystkich migrujących w tym roku dyrektorów wpływała na wzniesienie się poziomu ich placówek aż tak dalece, że masowi widzowie zabijaliby się o bilety dopingowani magicznym brzmieniem dyrektorskiego nazwiska.

Masowy widz, jak dotąd, idzie na podobającego mu się aktora i na określoną sztukę. Niestety nie zawsze na najlepszą. A trzeba właśnie, by przywykł chodzić na sztuki dobre. Kto jest gwarantem wyrobienia tego nawyku wśród szerokiej publiczności? Wydawało się przez szereg lat, że powinien nim być właśnie dyrektor teatru. Krótko mówiąc — to źle pojęta zasada odpowiedzialności jednoosobowej spowodowała ów „przeogromny wzrost autorytetu i rzeczywistego znaczenia" dyrektorów, który podkreśla W. Filler, niesłusznie wiążąc go z przemianą gustów odbiorcy. Zadziałała tu w dużej mierze i kwestia zaradności finansowej. A praktycznym rezultatem jednostkowej odpowiedzialności dyrektorskiej stało się w poszczególnych wypadkach bynajmniej nie wodzostwo artystyczne, lecz dyktatura administracyjna. I z tym stanem rzeczy należy walczyć.

Jak? Przede wszystkim powołując znowu do życia zlikwidowane rady artystyczne czy też przywracając im ich znaczenie w teatrach, w których cudem ocalały. Powinny zabierać głos w sprawach repertuaru, obsady i wykonania, co na pewno da bardziej efektywne korzyści, niż pokątne namowy zakonspirowanych konsultantów.

Jeżeli do tego w niektórych dyskusjach teatralnej rady artystycznej, poświęconych planom repertuarowym, będą uczestniczyli przedstawiciele wydziałów propagandy KW i KM PZPR wraz z przedstawicielami wydziałów kultury prezydiów rad narodowych, można będzie wówczas liczyć na solidniejsze zabezpieczenie interesów zarówno zespołu teatralnego, jak i masowego widza.

Rzekło się: interes zespołu. Tak, bo cóż to jest, na ten przykład, Teatr im. Osterwy, Siemaszkowej, Żeromskiego? Przecie nie gmach, w którym odbywają się przedstawienia, tylko nowa tradycja, której powinny przyświecać wielkie idee tych znakomitych patronów. Tradycję, blisko już dwudziestoletnią, muszą tworzyć działające w teatrze zespoły. Im bardziej stabilny jest kolektyw teatralny, tym godniejsza jest tradycja teatru. Ale stabilność zespołu to niekoniecznie konsekwencja dozgonnego wytrwania tego samego dyrektora niezależnie — *pardon* — od jego jakości. To wynik całego kompleksu sprzyjających warunków. Pierwszym z nich jest społeczne i artystyczne zaangażowanie samych członków zespołu, ich zdolność do harmonijnej współpracy, ich cywilna odwaga w stosunku do dyrekcji, solidarna postawa w słusznej sprawie. Jeśli zespół jest zgrany (w najlepszym sensie słowa) jak orkiestra, odejście dyrektora nie będzie dla niego katastrofą. Zresztą jakiż dobry dyrektor zechce opuścić taki teatr?

Projekty zmian w składzie zespołu, uzależnionych od decyzji dyrekcji, powinny jednak stanowczo trafiać na porządek obrad moralnie odpowiedzialnego za poziom teatru ciała doradczego, jakim z pozytywnym skutkiem może być rada artystyczna.

Jest rzeczą jasną, że dobry teatr powstaje jedynie we właściwym klimacie artystyczno-społecznym. Nie tylko działalność dyrekcji tworzy taki czy inny klimat w teatrze, tworzy ten klimat w niemniejszej mierze stosunek społeczeństwa do swego teatru, a zwłaszcza stosunek władz sprawujących nad nim opiekę czyli powołanych też do kontroli prawidłowego funkcjonowania elementów, które stanowią o jakości życia teatralnego. Aktorzy przywiązują się do miasta, którego mieszkańcy kochając swój teatr starają się dla niego, poprzez rady narodowe, o odpowiednie warunki pracy.

Dbać o interesy kolektywu teatralnego to znaczy zabezpieczyć jego członkom ludzkie warunki mieszkaniowe, zatroszczyć się o słuszne uregulowanie podziału dodatkowych możliwości zarobkowych, jakie daje prowadzenie zespołów amatorskich, a przede wszystkim — czuwać nad tym, by wszyscy członkowie kolektywu mieli możność należytego rozwijania swych dyspozycji artystycznych w teatrze, który ich zaangażował, roztaczając przed nimi powabne perspektywy.

Dochodzimy więc do sprawy repertuaru — sprawy kluczowej. W tym punkcie stykają się interesy zespołu teatralnego i interesy widza. Wielkiej rozwagi wymaga ułożenie takiego planu repertuarowego, by nie doszło do sprzeczności tych interesów.

Wydaje mi się, że zbyt skłonni jesteśmy nieodpowiedzialnie szafować moglistymi ogólnikami. Niech znajdzie się w ogłoszonym na wabika projekcie repertuarowym kilka wielkich pozycji klasycznych i parę okrzyczanych nowości — już się z triumfem woła: „ambitny repertuar"!

Tymczasem repertuar wojewódzkiego teatru powinien być nie pseudoambitny, lecz racjonalny, tj. taki, który uwzględnia w rozsądnej mierze aspiracje artystyczne zespołu i potrzebę kształcenia masowego widza.

Niestety, raz po raz wyrządzają teatrom prowincjonalnym niemałą szkodę fałszywe ambicje. Do fałszywych ambicji reżyserskich należy na przykład wyciąganie z lamusa zaśniedziałych pozycji dramatycznych wycofanych z obiegu po prostu dlatego, że są pozbawione walorów ideowych i artystycznych. Fałszywą ambicją (kierownictwa i aktorów, zwłaszcza młodych) jest również pęd do wystawiania za ciężkie dewizy współczesnych sztuk zachodnich, częstokroć nie najprzedniejszego gatunku. Niedawno można było przeczytać w jednym z pism emigracyjnych taką budującą sentencję: „albo się ma u siebie w kraju zachodnią kulturę, albo nie ma się żadnej kultury". Wiadomo, że nie brak i u nas osób, dla których takie sformułowanie nie jest obce. Akceptują one bezkrytycznie zachodnie modele cywilizacyjne, zresztą przeważnie w okresie ich zanikania. Dało się to łatwo zaobserwować na recepcji niedawnych spektakli Teatru Planchona, kiedy przyjęto niemal entuzjastycznie dość banalną, trącącą domową zabawą, parodię „Trzech muszkieterów", poświęcając dopiero ostatnio więcej uwagi ożywczemu, nowatorskiemu superweryzmowi „Grzegorza Dyndały", odsłaniającemu w utworze Moliera nie dostrzegane dotąd głębie.

Nie sugeruję bynajmniej odżegnywania się od świetnych pozycji współczesnej zachodniej dramaturgii, pozwalam sobie tylko przypomnieć o pożytku umiaru i zdrowego rozsądku. Nie ma, w istocie, kultury wschodniej i zachodniej. Kultura jest niepodzielna w tym sensie, że posiada pewne zasadnicze elementy nieodzowne dla wszystkich krajów. Kraj, który nie ma wszechludzkich cech kultury, nie ma jeszcze kultury prawdziwej. Lecz każdy naród nadaje swej kulturze kształty zgodne z własną specyfiką i tradycją. To jest przecie truizm, że mechaniczne przejmowanie modeli kulturowych innych narodów prowadzi do zatracenia „własnej identyczności".

Wielu snobistycznych (nie zawsze w gruncie rzeczy groźnych) aberracji myślowych da się uniknąć w teatrach w drodze dyskusji, przy kolektywnym stylu pracy nad planowaniem sezonu. Łatwiej też opracować projekt repertuaru, którego trzon ostoi się niespodziankom życiowym, i przewidzieć w nim sztuki nadające się na objazdy nie tylko dlatego, że są małoobsadowe.

Nie wypowiadam się tedy za tym, by dyrektorzy, wbrew ich wolnej woli, byli *glebae adscripti*. Wypowiadam się za stworzeniem warunków do samorzutnej stabilizacji kolektywów teatralnych i wykorzystywania przez nich przysługującego im prawa głosu.

NA WAKACJE · zabawa w detektywa

POCZĄTEK kanikuły zamyka jeszcze jeden sezon wydarzeń kulturalnych. Znani wszem i wobec starsi i młodsi intelektualiści z Krakowskiego Przedmieścia przemieniają się w autostopowiczów, rybaków, wytrawnych turystów. A ludziom, którzy w upalne dni lipcowe pozostają w mieście, należy się lżejsza niż zwykle strawa duchowa. Wiedziona zapewne tą myślą Dyrekcja Teatru im. J. Osterwy na zakończenie sezonu wystawiła „Morderstwo na scenie" Tita Strozzi.

Jak można się domyślać z samego tytułu, mamy do czynienia z „kryminałem". Powieści, filmy i sztuki kryminalne skonstruowane są zwykle według jednego z dwóch schematów: w pierwszym wypadku nie wiemy „kto zabił" i podejrzewamy o to prawie wszystkie postaci, w drugim wiemy „kto zabił" i obserwujemy wysiłki stróży porządku publicznego. „Morderstwo na scenie" jest skonstruowane według pierwszego schematu, trzeba przyznać bardziej popularnego i emocjonującego. Recenzent wówczas musi wystrzegać się jednego: zdradzenia mordercy. Dla wielu bowiem zabawa traci wtedy na uroku.

Sztuka taka opiera się przede wszystkim na zwartej konstrukcji o umiejętnie rozłożonych akcentach emocjonalnych i zaskoczeniu widza. Wszystkie te elementy znajdziemy i w trzyaktówce Strozziego.

Sztuka należąca do gatunku, wydałoby się, całkowicie skonwencjonalizowanego zdobywa się na pewne novum. Należy do tego konsekwentne przeprowadzenie tezy „każdy może zabić". Stąd pochodzi włączenie, nawet detektywa w krąg podejrzanych. Autor pokazuje bowiem, że i detektyw mógłby być zbrodniarzem w nieco innych okolicznościach. Część tradycyjnych czynności detektywa wykonuje jeden z posądzanych.

Niebanalny dla tego typu sztuk jest drugi akt i część trzeciego. Akt drugi to inscenizacja dociekań bohatera, który właśnie przejął funkcję detektywa. Sceny te zawdzięczają bardzo dużo Eleonorze Ossowskiej. W jej reżyserii mają dobre tempo, interesujące i efektowne przejścia od jednej kwestii do drugiej.

Zwracają uwagę pomysłowość konstrukcji i głębsze wartości dwóch historii. Jedna bezlitośnie prawdziwa udowadnia, że dla kobiety w pewnym wieku odejście kochanka nie jest jeszcze jednym zerwaniem, ale świadectwem wejścia w ostatni okres życia; druga, podszyta dürrenmattowskim paradoksem, mogłaby posłużyć za osnowę dużej sztuki: pracownik Instytutu Badań Jądrowych zdradza tajemnice państwowe o znaczeniu militarnym, aby nie dopuścić do zachwiania równowagi sił między państwami, co doprowadziłoby do wojny atomowej. W pierwszej części trzeciego aktu mamy znowu teatr w teatrze, a w obu morderstwo.

Banał i melodramatyczność właściwe sztuce drugiego gatunku wkraczają dopiero pod koniec. Bohaterami zaczynają kierować wyłącznie pobudki sentymentalne, powstaje słodkawy schemat: brat-siostra.

W przedstawieniu zwraca uwagę efektowna i funkcjonalna oprawa plastyczna Jerzego Torończyka, pozwalająca na dużą dynamiczność ruchu scenicznego dzięki jednopoziomowemu rozwiązaniu. Interesująco przeprowadzane są umowne zmiany miejsca akcji.

Należyte wrażenie wywoływały słowa skierowane do widowni i wyjście z niej aktora, chwyt o dobrej tradycji, dowód trafnego odczytania przez reżysera intencji scenariusza, który przełamywał konwencję czwartej ściany.

Zespół aktorski był bardzo wyrównany. Najbardziej interesujące okazały się kreacje Stanisława Mikulskiego (aktor Sven Melander), grającego właściwie parę ról i Witolda Lisowskiego (inspicjent Flot), który świetnie potrafił ukazać typ szarego człowieczka zdolnego do groźnej obrony. Nina Czerska grała z dużym temperamentem rolę zepsutej powodzeniem aktorki, Maria Szczechówna (dr Bessi Renn), Lucyna Suchecka (Lili Delmar), Witold Zarychta (dyrektor teatru), Zdzisław Winiarczyk (na wpół obłąkany stróż Saban), Janusz Cywiński (inspektor Mat) — przyczynili się do sukcesu przedstawienia.

Spektakl, dobrze i interesująco zrealizowany, o dużym ładunku sensacji, nie bez głębszych wartości z pewnością będzie się cieszył dużym powodzeniem w czasie części wakacji. Miejmy nadzieję, że zostanie wznowiony po urlopach.

Krzysztof Głogowski

Disce puer...

KAŻDY, gdy rzeczy płyną normalną koleją staje kiedyś przed problemem — co będzie robił w życiu. Wielu rozwiązuje to pytanie już po szkole podstawowej, liczniejsza grupa po ukończeniu liceum. Olbrzymia część natomiast stawia je sobie u progu dojrzałości, gdy świadectwo maturalne legitymuje ich jako ludzi dorosłych, posiadających wystarczającą wiedzę, aby móc ją skierować w określone koryto i zostać wysoko kwalifikowanym fachowcem, lub nie poprzestając na tym zdobywać prawo nauczania innych.

W latach ubiegłych zasadą niemal był run na wydziały uniwersyteckie oraz Akademię Medyczną. WSR dysponująca około ćwierć tysiącem miejsc prawie zawsze musiała ogłaszać dodatkowe egzaminy we wrześniu celem wykorzystania wolnych miejsc, jakie pozostawały po obsadzeniu pierwszego roku przez kandydatów w lipcu zakwalifikowanych na studia. W tym roku, a prognozy tego dostrzec już można było w ubiegłym, sytuacja uległa zmianie o tyle, że już pod koniec czerwca liczba kandydatów na WSR przekracza liczbę wolnych miejsc, podczas gdy na AM i uniwersytetach daje się zauważyć, w stopniu wprawdzie znikomym, wciąż malejącą liczbę kandydatów (w porównaniu z rokiem 1961 liczba kandydatów na UMCS i AM, mimo przyznania dodatkowych miejsc, spadła w roku 1962 o około 40).

Czym należałoby tłumaczyć ową zwiększoną atrakcyjność studiów rolniczych? Przyczyn, sądzę, jest wiele.

Na XII Plenum KC PZPR, poświęconym zwiększeniu inwestycji w rolnictwie i zapewnieniu dalszego wzrostu produkcji rolnej, powiedziano w referacie Biura Politycznego: „Decydującym znaczeniem dla harmonijnego wzrostu całej gospodarki narodowej jest przyśpieszenie wzrostu produkcji rolnej". Powiedziano także, że zgodnie z wytycznymi III Zjazdu oraz II i VI Plenum KC, państwo prowadzi politykę zwiększenia ś r o d k ó w i n a k ł a d ó w (podkreślenie moje) celem intensyfikacji rolnictwa.

Rozwój produkcji rolnej oraz jej nieustanny wzrost wymaga fachowych i wykształconych kadr, których brak szczególnie i ciągle jeszcze daje się zauważyć w PGR, wciąż jeszcze wykazujących zbyt duże zużycie kosztów w porównaniu z efektami produkcyjnymi. Przyczyną tego jest w dużej mierze fakt, że na ponad 4 tysiące kierowników PGR zaledwie niepełna połowa z nich posiada wykształcenie rolnicze średnie, lub wyższe. Toteż Partia kładzie bezwzględny nacisk na wychowanie i zatrudnienie w rolnictwie sprawnej kadry fachowców. Pierwszą przyczyną więc jest zapotrzebowanie społeczne, inaczej mówiąc popyt, na absolwentów wyższych szkół rolniczych.

Kolejnym powodem popularności zawodu rolnika jest materialna strona problemu. Coraz wyrazistszy staje się obecnie fakt, że nie istnieją już prawie tak zwane zawody lukratywne, bowiem państwo coraz skuteczniej niweluje tak dobrze nam znane dysproporcje zarobkowe w poszczególnych grupach zawodowych. Ponadto zawód rolnika nie tylko nie pozostaje w tym względzie w tyle za innymi, ale staje się coraz bardziej atrakcyjny. Władysław Gomułka na wspomnianym Plenum powiedział, że stażystom podyplomowym WSR należy zapewnić na wsi takie warunki, by mogli oni i chcieli pozostać i pracować na wsi. Dla absolwentów WSR istnieją szerokie możliwości uzyskania zatrudnienia. Obok typowych już niemal miejsc jakimi są PGR i POM dochodzą takie ośrodki, jak spółdzielnie produkcyjne, kółka rolnicze, instytuty rolnicze, stacje nasienne oraz utworzone w 1962 r. z inicjatywy PZPR i ZSL przy gromadzkich radach narodowych tzw. agronomówki, gdzie już teraz podjęło pracę około 5.200 agronomów.

Wreszcie trzecią przyczyną w sposób już czysto pośredni odziaływającą na wybór zawodu jest aktywność organizacji studenckich, a zwłaszcza Związku Młodzieży Wiejskiej.

Zarząd Wojewódzki ZMW, ściślej mówiąc, koła Związku istniejące przy uczelniach dzierżą niejako patronat nad liceami województwa lubelskiego, przy których działają koła ZMW. Współpraca studentów i uczniów polega szczególnie na organizowaniu spotkań, które w założeniu swym mają za zadanie informować młodzież klas maturalnych o warunkach studiów oraz o kierunkach możliwych do wyboru. Efekty są widoczne. Na 260 miejsc, jakimi dysponuje WSR, jest już tyleż podań osób ubiegających się o przyjęcie na studia i należy spodziewać się, że do rozpoczęcia egzaminów wstępnych wpłynie ich jeszcze więcej. Struktura społeczna na WSR kształtuje się rozmaicie. Rozmawiałem o tym z kolegą Stanisławem Rapą, aktywistą ZMW. Powiedział: „W roku 1962 około, 50% studentów pochodziło z rodzin chłopskich, około 20% z robotniczych, reszta legitymowała się pochodzeniem inteligenckim. Cóż, studia rolnicze stają się modne i przypuszczać trzeba, że coraz więcej młodzieży inteligenckiej starało się będzie o przyjęcie na WSR. Przy tym mają oni zadanie ułatwione, gdyż — co tu ukrywać — poziom nauczania w miastach jest niejednokrotnie wyższy niż w szkołach średnich małych miasteczek i osiedli, w liceach tzw. prowincjonalnych". Zapytałem czy organizacja robi coś w kierunku zniwelowania tych różnic i udzielenia pomocy absolwentom z prowincji w uzyskaniu studenckiego indeksu. Odpowiedź padła twierdząca. ZMW organizuje kursy przygotowawcze dla kandydatów na wyższe uczelnie.

Na WSR opiekunem i współorganizatorem kursu jest mgr Marian Grad z Zarządu Wojewódzkiego ZMW; jego wypowiedź przytaczam:

„W okresie poprzedzającym matury, do szkół średnich województwa lubelskiego ZMW rozsyła rodzaj pism informacyjnych zawiadamiających przyszłych absolwentów o zamiarze utworzenia kursu. Celem kursu jest repetycja materiału będącego przedmiotem egzaminów wstępnych. Materiał ten jest opracowywany według zagadnień zawartych w informatorach dla kandydatów na wyższe studia.

Kurs trwa około dwóch tygodni, od 21 VII do 31 VII. Zajęcia odbywają się rano i po południu.

Trudno mi powiedzeć, czy ta forma pomocy jest skuteczna. Pomyślne zdanie egzaminu zależy przede wszystkim od przygotowania kandydata. Jednakże doświadczenia lat ubiegłych wykazały, że około 80% kursantów dostaje się na wyższe uczelnie.

Jeśli chodzi o organizację kursu, to istotną cechą jest to, że kurs jest prowadzony w ramach własnych środków finansowych ZMW, oczywiście z odpowiednimi wkładami kandydatów, którym zapewniamy, obok możliwości korzystania z wykładów, zakwaterowanie w domach akademickich i wyżywienie w studenckiej stołówce.

Chciałbym poza tym wspomnieć, że obok przygotowania naukowego, kurs spełnia jeszcze inną funkcję o charakterze niejako asymilacyjnym, co uzyskujemy poprzez zbliżenie asystenta, zwykle późniejszego wykładowcy lub prowadzącego ćwiczenia, do przyszłego studenta. Zawiera się to także w przyzwyczajeniu, w pewnym „otrzaskaniu" kandydata z atmosferą uniwersytetu, co bardzo często eliminuje przedegzaminacyjną tremę.

Kogo przyjmujemy na kurs? Wszystkich chętnych; pierwszeństwo mają wszakże członkowie ZMW i maturzyści z oddalonych miasteczek. Warto by jeszcze dodać, że w bieżącym roku wyjątkową popularnością cieszy się Wydział Rolny WSR, w przeciwieństwie do lat ubiegłych, kiedy to większość wybierała weterynarię".

Wilka, gdy kto chce spotkać, wybiera się do lasu, studenta szukamy na uniwersytecie. W sali wykładowej weterynarii trwa kurs. Kandydatów jest około siedemdziesięciu. Podczas przerwy nawiązuję z nimi rozmowę. Pochodzą z województw: lubelskiego i rzeszowskiego. Trzech z nich kończyło Technikum Rolnicze w Łodzi. Dlaczego wybrali studia na WSR? Jedni chcą pogłębić swą wiedzę uzyskaną w technikach, tych po liceach skłoniły do tego zainteresowania. Mimo iż pochodzą ze wsi, nie zamierzają wrócić na gospodarstwo, pozostawiając je rodzeństwu; sami będą pracować w spółdzielniach i kółkach rolniczych. Zawód ten stał się opłacalny. A że do miasta daleko? Odległości przy obecnym rozwoju techniki przestały być problemem.

Życzę im więc tradycyjnego połamania nóg, a także radzę *disce puer*.

J. M.

* Poza tym Wieczorowa Szkoła Inżynierska.

PONIDZIE

LITERACKA GRUPA MŁODYCH ZIEMI KIELECKIEJ

JAN GOLKA

M a j

co jest istotą piękności

nad rudym śladem zimy
z otwartych ust nieba
zieloną mglistość przebudzenia
śpiewają skowronki

kiedy ta piękność jest we mnie

oto dzień wiosenny
odpływa rzeką we włosy zmierzchu
miękki płaszcz nocy zapięty
na gwiazdę
pachnie bliskim deszczem
ten deszcz
opłucze cynową kwaterkę księżyca

spoza drzewa które
samo się wymyśla
promień srebra jak smuga sadzy
rysuje dłoń wiosny
pręgowaną łańcuchem surowej bogini
podziemnego czasu

(i znowu mit Adonisa
dany jest oczom
których ostrość starły ściany
piwnic Persefony dzwoniącej kluczami
Persefony wąsatej
Persefony stukającej podkutym
obcasem
w korytarzu chłodu i pustki)

spoza drzewa które samo się wymyśla
wychodzisz nagi
bladym strzępem wiatru
przecierasz połysk rzecznego mijania
idąc
od niechcenia
staje się zielenienie i zapach
i dzwonność

w kołysce oddechów
w łożu każdej drogi
w źrenicy podniecenia
w kropli nieba

w ołowianej bryle snu
w lotnym płomieniu
JESTEŚ PĘDZĄCA
ZIEMIO

siodło twej piękności
gniazdem słowika zwiniętym ze
struny

czekaj
garść zielonej grzywy
i te mgielne połapać strzemiona
i już
lecieć i szydzić z Latony
od nowa żywy
i znów ocalony

spoza drzewa
które samo się wymyśla
piasim gardłem świt nadejdzie
rośny śniady
odemknie się noc półbłękitna
półzielona
i spłynie zboczem nieba
naukos

słońce prawieobecne
zapali obłok

i wtedy

spoza tego drzewa
łąką
wyjdzie dzień
ziemię prowadząc u pyska
mgła z niej bucha i dzwonienie

i wtedy

twardy pocisk odlany ze światła
spali moje oczy
drugi trafi w usta
i znów w nich będzie ziemia

po łuku ciszy wolniutko wędruje
biedronka

BOGDAN PASTERNAK

Wyznanie

To nie twarz mnie twoja urzekła piekielnie
i nie o ciepło i nie o zieleń
rzecz się cała toczy
To przechył ramion silnych i światło na kwiatach
i to czego już nikt nie usłyszy
To nie łzy „kmiotków"
płyną w bruzdach postarzałej gęby
To ciche szczęście
którego już nikt nie wytrze ze znaczeń
tak cię rozrzewniło do nas prostych w kochaniu
i wykrętnych w zemście
Jesteś krainą jodeł i modrzewi
oraczy ziemi i dziejów
Jestem z tobą złączony jak grzyb
Chłopska czapka nieba nad głową
wystarczy rękę podnieść
zajrzeć w oczy rzek
by z tobą być
Doliny uciekły od słońca
nabierając zielenią chłodnego oddechu
Twój dzień jest naszym patrzeniem
a noc twoja jest naszym słuchaniem
bo jesteś jak ja jestem
i wszystkie słowa są bezbarwne
Nie umiem mówić do ciebie tak
jak ty mówisz do mnie.

ANDRZEJ ZATORSKI

Do mojej samotności

Bez ciebie barwy odejdą,
ustanie kołowrót ziemi.
Jesteś więc potrzebna.

Gdy na straży okien
staje wieczór,
świat zamykanych powiek
wypełniasz odległością czasu.

Pozostawiając za sobą dni
wędrujemy do nikąd
ale niech
niebo otworzy źrenice jutra
zaczniemy od początku
poznawanie świata.

Brodząc w wiośnie
zbudzimy zieleń łąk,
czerwień biedronek.
A uśmiech jak pocałunek
podamy słońcu.

O CHŁOPSKIM PISARSTWIE RZESZOWSZCZYZNY

(Dokończenie ze str. 6)

Urodził się w roku 1820 w Husowie i żył w dwóch epokach. Dzieciństwo i młodość spędził w czasach pańszczyźnianych, wiek dojrzały w epoce popańszczyźnianej. Pochodził z rodziny małorolnego zagrodnika i małorolnym zagrodnikiem pozostał do końca życia. Chwytał się wszelkich możliwości zarobkowania, by uniknąć nędzy. Typowy „wolny najmita" orał, siał, rąbał lasy, młócił gdzie się dało. Zajmował się tkactwem, koszykarstwem, rzeźbił świątki, malował obrazy na szkle i przy tym wszystkim znajdował czas na samouctwo, na czytanie książek. Dzięki książkom właśnie zdobył dość dużo kultury ogólnej i literackiej. Nie brał czynnego udziału w życiu politycznym, ale też nie dał się wziąć na lep żadnym chłopskim opiekunom i mecenasom. Zachowywał zawsze samodzielność myślenia, a nawet, co było znacznie trudniejsze — samodzielność i oryginalność w swym pisarstwie. O jego postępowości świadczy m. in. stosunek do Rusjnów. Rak, wbrew „zwodzicielom w świętej odzieży", wbrew „czarnym krokodylom", którzy podsycają nienawiść polsko-ruską, głosił hasła łączności klasowej chłopa polskiego i ruskiego.

W swoim pisarstwie Rak był rzecznikiem surowego bezwzględnego realizmu. W jego wierszach nie widać żadnego związku z tradycjami i konwencjami literackimi. Można dostrzec tylko pewne pokrewieństwo z pieśnią pańszczyźnianą. Do końca życia pozostał wierny chłopskości, którą przejął od tej pieśni. A tak wielu chłopskich poetów przyjmowało bezkrytycznie literackie lub mieszczańskie stylizacje ludowości w rodzaju „chłopek ci ja chłopek".

O wiele trudniej było dojść do zrozumienia chłopskiej sprawy Ferdynandowi Kurasiowi. Mimo chłopskiego pochodzenia wychowywał się w atmosferze drobnomieszczańskiej (w warsztacie szewskim, gdzie terminował). Żył aż do starości w nędzy. Pierwszy tomik jego wierszy pt. „Spod chłopskiej strzechy" poza tytułem niewiele ma wspólnego z chłopskością. Zawiera okolicznościowe wiersze patriotyczne i religijne. Tradycyjny i trochę „bogoojczyźniany" ton tych utworów zwrócił na nie uwagę „konserwy" krakowskiej spod znaku Stańczyka i kleru. Sam hrabia Stanisław Tarnowski otoczył Kurasia protekcją i przysyłał mu książki. Takich opiekunów miał zresztą w tym czasie Kuraś wielu. I Jan Słomka młodszy, i Kasper Wojnar, i Tadeusz Grabowski, i Jan Kasprowicz. W późniejszym okresie, gdy przeszedł na pozycję radykalizmu ludowego, zainteresował się nim żywo Stefan Żeromski. Napisał ciepłą, serdeczną przedmowę do pamiętnika Kurasia — „Przez ciernie żywota". Ale na razie wiersze chłopskiego lirnika znalazły się na łamach klerykalnego pisemka „Krakus". Oznaczało to wplątanie Kurasia w sieć solidarystycznej ideologii krakowskich stańczyków. Dopiero po I wojnie twórczość i poglądy pisarza ulegają zmianie. Przekonał się ostatecznie, że go łudzili i oszukiwali możni przyjaciele. Teraz już występuje jako zdecydowany przeciwnik starego porządku społecznego. Długo bałamucony poeta teraz dopiero uderzył w ton bojowy. W wierszu „Bezrolni" woła:

Na polskiej naszej ziemi szumią bujne łany,
A lud biczem przeciwieństw bez końca smagany,
Lud bezrolny, zgłodniały, w dal spogląda łzawo,
Bo do ziemi tej słuszne zgwałcono mu prawo.
Za trud całych pokoleń tak się zawsze płaci
Pracownemu ludowi... O cześć wam magnaci." *)

Wiersze Kurasia drukowano tak często, jak żadnego z chłopskich poetów. Nic dziwnego, że doczekał się kilku książek: („Spod chłopskiej strzechy", „Wiązanka z chłopskiej niwy", „Tatarzy w Sandomierzu", „Dzwoń, chłopska pieśni", „Z ojczystych łanów", „Na nowe tory", oraz pamiętnik „Przez ciernie żywota"). Bardzo wyraźnie widać w twórczości Kurasia obecność wzorów i pewnych nie zawsze najlepszych konwencji literackich. Nie jest to oryginalna, samodzielna i autentyczna poezja jak u Jana Raka.

Bardzo podobny rozwój ideowy w swojej twórczości i działalności przeszedł Franciszek Magryś, autor wielu wierszy drukowanych w ludowych i pseudoludowych pismach „różnej maści". Był także autorem znanego pamiętnika „Żywot chłopa działacza". Mimo swojej uległości w stosunku do kleru, mimo wielkiej pobożności, umiał zdobyć się na reprezentowanie chłopskich interesów w czasie wyborów do parlamentu, o czym świadczy relacja w jego pamiętniku.

Dopiero w młodszym pokoleniu chłopskich pisarzy, w okresie międzywojennym pojawiają się mocne akcenty chłopskiego buntu. Dotyczy to zwłaszcza poezji Wojciecha Breowicza.

Jest on autorem kilku tomików wierszy i prozy publicystycznej. („Echa wiejskie", „Zaułek odrzykoński", „Ciernisty szlak", „Polska literatura ludowa", „Trzy etapy"). Drukował ponadto bardzo dużo wierszy w wielu czasopismach w Polsce i później w Brazylii. Jego wiersze, pełne społecznej pasji patriotyzmu, odznaczały się dużym ładunkiem rewolucyjności. W bojowych pobudkach i gniewnych strofach poematów upominał się o prawa biedoty wiejskiej, sławił bohaterstwo uczestników strajków i zbrojnych zrywów wsi. Jego radykalizm objawiał się nie tylko w poezji. Był także działaczem politycznym znanym w okolicach Jasła i Krosna, — dziennikarzem, redaktorem pism ludowych w kraju itd. Dzięki niemu i Antoniemu Olsze powstał w okresie międzywojennym Związek Literatów Ludowych. Breowicz utworzył organ pisarzy ludowych „Wieś i jej pieśń" — czasopismo to zaczęło wychodzić w Jaśle w 1933 roku. Grupa chłopskich poetów i pisarzy otaczających to pismo postanowiła utworzyć wspólną platformę ideową chłopsko-robotniczą. Ten fakt zadecydował o wzmożonych prześladowaniach członków grupy przez władze sanacyjne. Dlatego też Związek Literatów Ludowych nie doczekał się legalizacji.

Działalność Breowicza mówi o poczuciu odrębności i wysokiej świadomości klasowej nowszego pisarstwa chłopskiego. Pod koniec roku 1933 wyjechał poeta na emigrację do Brazylii. Trapiony nędzą i szykanami władz nie mógł w kraju znaleźć miejsca dla siebie. W Brazylii rozwijał nadal i rozwija do dzisiaj ożywioną działalność poetycką, publicystyczną i oświatową wśród tamtejszej Polonii.

Podobnie jak Breowicz, choć na mniejszą skalę, ambicje działacza społecznego i politycznego połączył z talentem pisarskim Jan Stryczek, autor pamiętnika pt. „Chłopskim piórem", nagrodzonego przez tygodnik „Polityka". Książka Stryczka ukazała się w roku 1957, z innej więc perspektywy ocenia los chłopski niż książki poprzedników. Sprawom osobistym autor poświęca niewiele miejsca; książka jest w gruncie monografią sprawy postępu społecznego na wsi, dziejów ruchu ludowego, jest zespoleniem osobistego życiorysu Stryczka z drogą tysięcy chłopów, ludowców i wiciarzy. Nie bardzo mieści się w granicach prymitywu samorodnego pisarstwa choć kreśli tak typowy portret pisarza samouka i wiejskiego działacza społecznego. Przekracza je świadomością, rozmachem uogólnień i sumą wiedzy. Przy tych walorach poznawczo-społecznych pamiętnik chłopa z Woli Dalszej znamionuje niewątpliwy talent pisarski autora. Jest w nim konkretność i plastyczność opisu, barwny i swobodny język, akcenty humoru i ironii i wreszcie umiejętność kompozycji. Stryczek nie był autorem wielu zbiorków, szkiców publicystycznych czy tomików poezji, jak inni chłopscy pisarze. U schyłku życia napisał tę jedną książkę, której ciężar gatunkowy znacznie przewyższa całokształt pisarstwa wielu płodnych poprzedników. Zaszczytna nagroda, na którą Stryczek w pełni zasłużył, jest równocześnie wyrazem szacunku i aprobaty, jaką w naszym kraju cieszy się samorodne pisarstwo ludowe.

Nieoczekiwanie i późno rozbłysnął talent pisarski dużej miary u Romana Turka, chłopa z Woli Dalszej pod Łańcutem. W roku 1961 ukazał się tom autobiograficznej gawędy pt. „Moja mama, ja reszta", a w r. 1962 dalsza część wspomnień — „W służbie najjaśniejszego pana". Turek zaczął parać się piórem w wieku już podeszłym, w warunkach, które powstały w Polsce Ludowej — nie kierują jego twórczością ambicje działalności społecznej czy politycznej. Chce dać przede wszystkim obraz obyczajów dawnej wsi, obraz dawnego chłopskiego bytowania, pokazać charakterystyczne typy i sylwetki wiejskie. To różni go od pisarzy działaczy, apostołujących swym piórem. Książka — „Moja mama, ja i reszta" stanowi rewelację w samorodnym pisarstwie — jest w niej niepodrabiany humor, wielkie bogactwo realiów z życia wsi, werwa i temperament rasowego gawędziarza. Barwny i soczysty język wraz z zawiesistością dykteryjek licznie rozsianych po kartkach książki uatrakcyjniają jej lekturę.

Tytuł drugiej części pamiętnika Turka „W służbie najjaśniejszego pana" nasuwa analogie bądź to ze Szwejkiem Haska, bądź z „Solą ziemi" Wittlina. Elementy jednej i drugiej książki występują wyraźnie na kartach chłopskiego pamiętnika, lecz jednak nie dość zdecydowanie, by mówić o opowieści o cierpliwym piechurze lub o zamierzonej drwinie z c. i k. monarchii. Turkowi chodzi tu również o dokument obyczajowy, o wszystkie realia chłopskiego bytowania czasu wojny — nie zna zasady eliminacji, nie usiłuje konstruować uogólnień. Razić może trochę wielosłowie i brak dyscypliny pisarza, co wpływa ujemnie na kompozycję pamiętnika, lecz gdy się pamięta, że autor tylko przez 3 zimy uczęszczał kiedyś do szkoły... Obydwie książki Turka cechuje głęboki autentyzm, dosadny realizm i oryginalność. Trudno tu się dopatrzeć wpływów jakichś patronów literackich. Spojrzenie na świat z uśmiechem lekkiej kpiny, a zarazem pogody i słońca, każe nam raczej dostrzec zbieżność postawy życiowej z Colas Breugnon. Sześćdziesięciopięcioletni pisarz ma równie twórczą starość, jak ten tryskający humorem burgundzki stolarz. Przygotowuje trzeci tom zbeletryzowanych pamiętników, który ma objąć okres międzywojenny. I on jak jego krajan Stryczek został wyróżniony nagrodą — jest laureatem nagrody literackiej województwa rzeszowskiego za rok 1959.

Samorodna, chłopska twórczość literacka prawdopodobnie jest już zjawiskiem wygasającym. Wprawdzie ukazują się na bieżąco nowe i wartościowe książki chłopów, jak w wypadku Stryczka i Turka, ale nie zapominajmy, że autorzy ci reprezentują to samo pokolenie, co Breowicz, Jantek z Bugaja czy Józef Kapuściński, a więc pokolenie już odchodzące. Dzięki nowym sprzyjającym warunkom, osamotnieni i zdani na własne siły w dawnym ustroju, samoucy otrzymali pomocną dłoń do spóźnionego startu. Młode talenty literackie na wsi mają już w Polsce Ludowej drogę normalnego wzrostu i rozwoju szeroko otwartą. Oczywiście pod warunkiem, że to istotnie talenty. W naszej rzeczywistości nie istnieją perspektywy dla pisarstwa wyłączonego poza margines literatury narodowej. Trzeba jednak stwierdzić, że pisarstwo samorodne odegrało w przeszłości bardzo ważną rolę. Wyrażało walkę chłopa o inne życie, o sprawiedliwość, naukę i postęp. Pisarz chłopski był wyrazicielem myśli rewolucyjnej, a pisarstwo funkcją odrywania się od ziemi, od stanu chłopskiego od wiejskich przyzwyczajeń — było próbą uzyskania awansu i przejścia do innych form życia.

Jan Grygiel

*) Ferdynad Kuraś: „Wiersze i pamiętniki", LSW, W-wa 1954, str. 67.

Ale co dalej?

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

TAK jak konkurs recytatorski który w tym roku świecił swój mały jubileusz (jako dziesiąty konkurs z kolei), tak i przegląd teatrów poezji wejdzie chyba do stałej tradycji w Polsce. Ta forma popularyzowania literatury pięknej przy użyciu środków teatralnych jest bez precedensu w historii kultury nie tylko europejskiej, a narodziła się właśnie z konkursów recytatorskich. Zespoły żywego słowa poczęły układać programy koncertów w taki sposób, żeby stanowiły niejako udramatyzowaną całość, zaczęły szukać „pomysłów" scenicznych warunkujących odpowiedni dobór tekstów, zaczęły wreszcie nadawać przy pomocy środków czysto teatralnych bardziej jednolity kształt wyobrażeniowy recytowanym utworom podporządkowując ich interpretacje założeniom inscenizacyjnym. Tak właśnie narodził się teatr żywego słowa, teatr poezji.

Pierwsze przeglądy takich zespołów zaczęły odbywać się wspólnie z eliminacjami recytatorskimi niejako na ich marginesie. W roku 1961 odbył się pierwszy, wyodrębniony z konkursu recytatorskiego, festiwal teatrów poezji w Koszalinie, w tym roku zaś w czerwcu w Białymstoku. Paroletnia zaledwie działalność tego rodzaju zespołów nie wytworzyła jeszcze własnej teorii, ani własnej krytyki. Ciągle otwarty jest spór o definicję teatru poezji, czym forma ta różni się od znanej już dawniej i w teatrze zawodowym estrady poetyckiej, na ile prekursorska jest dla tego ruchu działalność Teatru Rapsodycznego w Krakowie. Można jedynie stwierdzić stale rosnącą popularność tego gatunku sztuki wśród zespołów amatorskich (zawodowych teatrów ten ruch jak dotąd nie zainteresował) wypróbowuje się też niejako intuicyjnie różne formy sceniczne teatrów poezji, poczynając od najprostszej i najprymitywniejszej inscenizacji ilustracyjnej (która jako teatr poezji nie zdała egzaminu i coraz mniej zespołów ambitnych po nią sięga) po pełne dramaty poetyckie konstruowane z luźnych tekstów wokół osi konfliktu scenicznego z ekspozycją, punktem kulminacyjnym i rozwiązaniem (czy może trafniej — pointą). Zespoły przedstawiające pełne dramatycznego napięcia inscenizacje operują najczęściej wszystkimi dostępnymi im środkami teatralnymi komponując całość widowiska z różnych tworzyw scenicznych na zasadzie harmonijnego powiązania.

Ze spektakli najbardziej śmiałych zespołów odnosi się nawet wrażenie, że słowo w takim teatrze staje się składnikiem, a nie elementem nadrzędnym podporządkowującym sobie pozostałe środki wyrazu scenicznego. Takie widowisko zademonstrował na festiwalu białostockim Teatr Poezji WDK w Szczecinie w programie pt. „Zwierzęta z wysp cywilizowanych" (program wyróżniony). Opracowując program na temat buntu przeciw drobnomieszczańskiemu skostnieniu poglądów na życie (taką koncepcję odczytałem ze spektaklu — zamysł inscenizatora i reżysera może był nieco inny) twórca jego posłużył się wierszami eksperymentujących poetów: Białoszewskiego, Czachorowskiego i Karpowicza. Eksperymenty formalne tych poetów naprowadziły reżysera na pomysł dotąd w teatrach poezji nie praktykowany. Słowo niekiedy stawało się elementem pomocniczym pantomimy, działania scenicznego, organizacji przestrzeni scenicznej itp. Stąd olśniewające niekiedy efekty z pogranicza nawet sztuki cyrkowej, a jednocześnie, co było dużym mankamentem, niedopracowanie dykcyjne podawanego tekstu.

Tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć. Bo i jakże opisać tok spektaklu, w którym nie ma fabuły, akcji, w którym napięcie dramatyczne organizowane jest wokół postawionego problemu metodą dyskusji, dialogu postaw, a nie postaci? Kiedy o wartości jego decyduje wizja teatralna, która wieloznacznym słowom poety nadaje jedyny dla koncepcji inscenizacyjnej wyraz.

Idea poszukiwań twórczych jest nieodzownym warunkiem w działalności teatrów poezji. Odkrywanie rzeczy może nie zawsze nowych w teatrze, ale na pewno nowych wśród członków zespołów, jest wspaniałym walorem wychowawczym pracy w takich zespołach. Tworzenie własnych dramatów dla wyrażenia własnych przeżyć, trosk i przemyśleń zespołu nadaje urok szczególnej świeżości i szczerości, czego, jak wiadomo, częstokroć brakuje spektaklom teatrów zawodowych.

Na pewno najbardziej harmonijne i starannie technicznie opracowane przedstawienia dał studencki Teatr Poezji „Kalambur" z Wrocławia (nagroda w kategorii teatrów studenckich). Potraktowany w konwencji brechtowskiej spektakl „Kurt", opracowany przez poetę Mariana Grześczaka z jego własnych tekstów (jedyny zresztą przykład współpracy poety z teatrem poezji), był z kolei najbardziej zbliżony do dramatów scenicznych, mając zalążek akcji i postaci sceniczne (reprezentujące jednak nie charaktery, lecz postawy ideowe). Jeśli można mówić o rodzącym się akademizmie w ruchu teatrów poezji i o sztywniejących konwen-

(Dokończenie na str. 16)

LUBELSZCZYZNA NIEZNANA

(Dokończenie ze str. 11)

jak dotrzeć do danej miejscowości, jakie są tam warunki wyżywienia i noclegu. A przecież nie samym pięknem człowiek żyje.

A poza tym... właściwie nie warto nawet krytykować tego przewodnika. Jest on zupełnie niedostępny. Z trudem znaleźć go można w nielicznych bibliotekach. Komentarze chyba zbyteczne.

Inne województwa nie żałują wysiłków i środków na propagandę turystyki. Wydają zarówno imponujące albumy, jak i tanie, maleńkie, ale atrakcyjne foldery, mapki i składanki.

Ostatnio na posiedzenie pewnej bardzo ważnej instytucji poświęcone sprawom propagandy regionu ktoś przyniósł komplet wydawnictw rzeszowskich. Z zazdrością oglądaliśmy nowoczesne, kolorowe informatory z Bieszczad, Łańcuta, Przemyśla, Tarnobrzeskiego i innych okolic. Podziwialiśmy dowcipne i przejrzyste mapki obrazujące poszczególne szlaki turystyczne, kiwaliśmy głowami nad zestawami reprodukcji grafiki z Rzeszowa i innych miast.

„No cóż" — powiedział ktoś z goryczą — „za to my w Lublinie mamy piękną, zabytkową siedzibę dla Zarządu Wojewódzkiego PTTK i własne wydawnictwo regionalne".

Czy naprawdę podjęcie cyklu wydawnictw propagujących turystykę na Lubelszczyźnie, ukazujące jej piękno, przekracza nasze możliwości? Trudno mi odpowiedzieć. Czasami jednak zaczynam snuć na ten temat marzenia. Mam przy tym marzenia minimum i marzenia maksimum.

Minimum — to przyzwoite mapy turystyczne najważniejszych szlaków i regionów, takich jak: Roztocze, Pojezierze Włodawsko-Łęczyńskie, trójkąt Puławy — Kazimierz — Nałęczów oraz region nadwiślański. To również zestawy pocztówkowe obrazujące najpiękniejsze okolice, najciekawsze zabytki, zrobione przy tym dość starannie i estetycznie, aby oddały rzeczywiste piękno i walory przedstawianych obiektów, a równocześnie odbijały trochę poziomem od oleodrukowej tandety wypełniającej obecnie kioski naszego „Ruchu".

To wreszcie jakiś niewielki, ale atrakcyjnie napisany i nieźle opracowany graficznie przewodnik turystyczny po Lubelszczyźnie. Te wydawnictwa byłyby pierwszym kluczem otwierającym Lubelszczyznę rzeszom turystów.

Mam jednak i swój program maksimum. Każdy z miłośników Lubelszczyzny zapragnąłby na pewno posiadać w swej bibliotece jakieś większe wydawnictwo dotyczące naszego województwa. Oczywiście jest przepiękny album fotogramów lubelskich Edwarda Hartwiga, ostatnio ukazał się na księgarskich półkach album Kazimierza. Wydaje się publikacje z historii Lubelszczyzny, nasze Wydawnictwo przystąpiło do upowszechniania ludowych skarbów poezji, pieśni, sztuki. Ale to są wydawnictwa raczej specjalistyczne.

Gdyby pokusić się o pracę stanowiącą syntezę tego wszystkiego, gdyby wydać książkę podobną do przepięknego cyklu prowadzonego przed wojną przez jedno z wydawnictw pt. „Cuda Polski". Poszczególne tomy opracowywali tam renomowani literaci, związani najmocniej z ukazywanym regionem. Pamiętam, jak pięknie i serdecznie pisał o Śląsku, jego trudnym, surowym pięknie Gustaw Morcinek. Wydawnictwo ilustrowały wspaniałe zdjęcia, rysunki, mapki i szkice. Każdy tom był bibliofilskim cackiem.

Myślę, że nasze wydawnictwo po dotychczasowych doświadczeniach stać by było na pewno na podjęcie podobnej pracy.

Przyszły rok ma być „Rokiem Ziemi Lubelskiej". Przez to określenie rozumiem również poważną, szeroką propagandę walorów turystycznych Lubelszczyzny, szerokie udostępnienie piękna jej ziemi, zabytków, porywającej historii oraz innych wartości — w całej Polsce oraz poza jej granicami.

To na pewno wielka sprawa, godna poważnych wysiłków.

Lesław Gnot

LUBELSKIE okno na świat

(Dokończenie ze str. 10)

siąca na miesiąc rodzą się nowe pozycje, takie jak ostatnio powołany do życia „Region Lubelski", rocznik poświęcony kulturze, nauce, oświacie, przeszłości i teraźniejszości Lubelszczyzny. W związku z tym, że życie stawia przed społeczeństwem ciągle nowe problemy, Wydawnictwo musi trzymać rękę na pulsie wydarzeń, włączać się do obchodów poszczególnych rocznic, np. XX-lecie PPR, XX-lecie PRL, Milenium itd. Wymaga to ustawicznej korekty planów, poszerzania ich, co staje się możliwe jedynie dzięki współpracy z Prezydium WRN, powiatowymi radami narodowymi, które zlecają i finansują w całości lub częściowo niektóre pozycje. Dzięki temu przybywa książek i — co jest ważne — coraz częściej w planach znajdują się książki z sąsiadujących z nami województw.

Stosunkowo najwięcej jest pozycji białostockich (A. Omilianowicz, H. Muszyńska-Hoffmannowa, J. Kowalski, Z. Słączka itd), ale nie brak również Kielc (przede wszystkim W. Babinicz, „Ponidzie", zbiór reportaży kieleckich „Okiennice") czy też Rzeszowa (J. Kapuściński, J. Janowski, J. Pieśniarowicz i in.).

Ambicją Wydawnictwa jest jednak nie tylko ilość, ale i jakość książek, stąd duża troska o szatę graficzną, o odpowiedni papier, ciekawą, barwną obwolutę, zakładkę, ilustrację itd.

Regionalizm wcale nie oznacza zaściankowości, ograniczenia się do własnego podwórka. Wartościowa i ładnie wydana książka znajdzie nabywcę wszędzie. Potwierdziły to zresztą Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, w których Wydawnictwo brało już udział dwukrotnie, potwierdzają to liczne zamówienia zagraniczne na książkę lubelską, nagrody „Polityki", recenzje i wreszcie fakt szybkiego wyczerpywania nakładów. Pozornie wydawać by się mogło, że książka lubelska będzie miała odbiorcę prawie wyłącznie wśród mieszkańców naszego regionu. Rzeczywistość zdaje się mówić zupełnie co innego. Więcej niż Lublin książek WL kupują województwa: katowickie, wrocławskie, łódzkie, warszawskie i in. I to jest chyba najbardziej pozytywne zjawisko. To przekonuje, że książka lubelska jest potrzebna i poszukiwana i że przyszłość dopiero się przed nią otwiera.

Roman Rosiak

Pochwała dobrej roboty

TRZY ośrodki miejskie na Rzeszowszczyźnie „dorobiły" się własnych roczników. Są nimi miasta: Jarosław, Przemyśl, i Rzeszów. Tradycje „Rocznika przemyskiego" sięgają daleko w przeszłość, a z jego tomików można by ułożyć sporą biblioteczkę. Znacznie młodsze, bo powstałe dopiero po wyzwoleniu, są roczniki: jarosławski i rzeszowski.

Właśnie ukazał się rocznik jarosławski 1962 — jest więc okazja, by poświęcić parę słów temu pożytecznemu wydawnictwu. Jarosław, dziś 25-tysięczne miasto powiatowe, chlubi się i nie bez uzasadnienia swą bogatą przeszłością, bujnym rozwojem handlu w ubiegłych wiekach. Współczesny Jarosław dumny jest ze swoich zakładów przemysłowych, a także szkół, które ulokowały się tutaj w takiej liczbie, jak w żadnym z miast Rzeszowszczyzny. Położony pomiędzy dwoma rywalami, Przemyślem i Rzeszowem, i ustępujący im zarówno liczbą mieszkańców, jak i możliwościami materialnymi — bynajmniej nie kapituluje. Wyrazem ambicji, a zarazem dowodem głębokiego przywiązania do swego pięknego miasta, jest właśnie „Rocznik", wydawany przez Stowarzyszenie Miłośników Jarosławia.

W pracy tego Stowarzyszenia trudno byłoby doszukać się efektownych wydarzeń, cechuje je raczej skromna, ale rzetelna, systematyczna działalność. Przejawia się ona i w trosce o losy zabytkowych budowli, w inicjowaniu prac zmierzających do upiększenia miasta, w organizacji wystaw związanych z kulturą plastyczną grodu, w którym przecież znajduje się Liceum Sztuk Plastycznych, jedna z najciekawszych tego typu szkół w kraju, w organizowaniu wycieczek i akcji odczytowej.

Większość studiów, artykułów opublikowanych w „Roczniku 1962" przedstawiona została najpierw w formie odczytów członkom Stowarzyszenia, dla których sprawy własnego miasta są nie tylko bliskie, ale i dobrze znane. Mamy tu więc do czynienia z pewnego rodzaju zbiorową recenzją, dzięki której niejedno niedopatrzenie czy niedomówienie zostało w porę skorygowane. Inny moment wart odnotowania: większość prac zamieszczonych w „Roczniku" została przygotowana przez pracowników Jarosławskiego Muzeum. A ponieważ Jarosławianie nie dysponują zbyt dużą ilością pieniędzy na cele wydawnicze — autorzy artykułów postanowili zrezygnować z honorariów, aby w ten sposób ułatwić wydanie rocznika.

Jakkolwiek w zbiorze przeważają materiały dotyczące przeszłości, to przecież i dzień dzisiejszy nie uszedł uwagi redaktorów. Należy tu przede wszystkim wymienić artykuł Michała Ciołka, bilansujący osiągnięcia Jarosławia w Polsce Ludowej. O niedalekiej, robotniczej przeszłości miasta traktuje praca Władysława Budzisza pt. „Jarosław we wspomnieniach Stanisława Łańcuckiego". Autor omawia działalność tego wybitnego działacza komunistycznego na terenie Jarosławia na początku międzywojennego dwudziestolecia. Do ciekawszych materiałów rocznika wypada zaliczyć także szkic W. Schönborna, w którym przeprowadza on porównanie Jarosławia z małymi miastami włoskimi.

Również problematyka pobliskich, ciążących do Jarosławia miasteczek znalazła miejsce na łamach wydawnictwa. W omawianym tomie za rok 1962, który jest trzecim z kolei rocznikiem wydanym staraniem Stowarzyszenia Miłośników Jarosławia, zamieszczono monografię Cieszanowa oraz artykuł o przeszłości Przeworska.

Skromna szata graficzna wydanego na powielarni „Rocznika" jarosławskiego, dobrze harmonizująca ze starannie opracowanymi artykułami i notami — może stać się wzorem dla innych środowisk regionalnych.

Zbigniew Wawszczak

Rzeszowskie kawiarenki ZMW

ZYGMUNT WÓJCIK

JAK wyglądają wiejskie kawiarenki ZMW? Są to przeważnie jedno lub dwuizbowe lokale, pomalowane w „modern" pikasowskie wzorki, zaopatrzone w telewizor lub radio i adapter, prasę, gry towarzyskie i... rzecz jasna, bufet z kawą, ciastkami, piwem. Tak właśnie można nakreślić uproszczony obraz większości tych placówek, a w tym także kawiarenek rzeszowskich. Kawiarenki te od lat co najmniej czterech działają z coraz większą aktywnością, a fakt, że istnieje ich obecnie na terenie kraju blisko 600, świadczy, że inicjatywa ZMW była trafna i padła na właściwy grunt.

Niemały udział w osiągnięciach i doświadczeniach tego nowego ruchu kulturalnego mają kawiarenki ZMW w Rzeszowskiem. Dość często mam okazję zetknąć się bezpośrednio z wieloma z nich, napić się solidnie naparzonej kawy po turecku, przypatrzeć się działalności programowej. Przyznam się, że sam miałem kiedyś obiekcje czy nie jest to tylko zmieniona forma świetlicy. Z tą ostatnią wiąże się bowiem ciągle cały szereg najmniej zachęcających wspomnień, a marazm, jaki swego czasu padł na działalność świetlicową mógłby się przecież znowu powtórzyć. Jednak kawiarenki są zupełnie inne. Inne są dla mnie głównie w tym, że przychodzą tu ludzie, panuje tłok, każdy coś robi i czymś się interesuje.

Weźmy za przykład Trzcianę w powiecie rzeszowskim. Jest to duża wieś, licząca prawie 400 gospodarstw. Sporo młodzieży dojeżdża stąd do Rzeszowa i Dębicy, sporo się uczy. Chcą żyć na sposób miejski. Klub-kawiarenka powstał tu jako jeden z pierwszych, bo w roku 1961. Pracują przy nim sekcje rozrywkowe: filmowa, tańca towarzyskiego, szachowa, brydżowa, żywego słowa, muzyczna. Czynny jest 4 razy w tygodniu i zawsze jest tak przepełniony, że drugie tyle chętnych nie może wejść. Bywalcami klubu-kawiarenki są pracownicy Ośrodka Zdrowia, GRN, poczty, GS, młodzież szkolna, starsi gospodarze. Ci ostatni są może troszeczkę onieśmieleni. Działalność kawiarenki w Trzcianie nie kończy się jednak na pracy w wymienionych sekcjach. Odbywają się tu spotkania z literatami, artystami teatru, plastykami, fotografikami, dziennikarzami. Tu urządza się wystawy fotografii i malarstwa, organizuje wspólne wyjazdy na koncerty i do teatru. Przykład Trzciany nie jest odosobniony. Drugim, nie mniej aktywnym klubem-kawiarenką jest placówka w Zalesiu. Tutaj ujawniła się inicjatywa ze szczególnym naciskiem na pracę społeczną dla dobra wsi. Wyremontowano sale starego pałacu własnym kosztem, zakupiono szereg niezbędnych urządzeń własnym kosztem. I oto rok temu w czasie kawiarnianych pogaduszek narodził się pomysł wybudowania domu kultury i oświaty ZMW, oczywiście ze składek społeczeństwa. Nie trzeba wiele pisać, jeśli powiem, że na ten cel zbiera się pieniądze w całym województwie i zebrano już blisko milion złotych.

Jeszcze inna kawiarenka w Soninie w powiecie łańcuckim. Posiada ona piękną salkę, dobrze wyposażony bufet, duży zestaw tytułów gazet. Frekwencja zawsze stuprocentowa. Działający przy kawiarence zespół teatralny wystawia teraz Bałuckiego. Pomyślne funkcjonowanie kawiarenki można w dużym stopniu zaliczyć na rzecz doskonałej współpracy z organizacją partyjną, jej zrozumienia i pomocy.

Przykłady można by mnożyć. Oczywiście wśród blisko 60 istniejących w województwie kawiarenek znajdzie się sporo i takich, gdzie praca się nie rozkręciła, pierwsze trudności pokonują organizatorów, a pomoc rzadko wtedy nadchodzi. Mówiąc o tym mam tu głównie na myśli spółdzielczość. Kawiarenki ZMW bowiem działają na zasadzie pomocniczych punktów sprzedaży. Zasada ta, określona kilka lat temu w specjalnym porozumieniu zawartym między ZG ZMW i CRS, od dawna nie spełnia swego zadania. GS zobowiązane do wyposażenia kawiarenek, po każdym takim fakcie, który zapisują na konto swojej hojności, domagają się od tychże kawiarenek wyrabiania dochodu, „śrubowania" obrotu itp. rzeczy, absolutnie obcych pracy kulturalnej i oświatowej. Na szczęście te nieporozumienia istniejące na szczeblu gminnym dość radykalnie rozwiązuje zawsze rzeszowski WZGS, który wykazuje sporo zrozumienia dla inicjatywy ZMW i szczerze popiera rzetelną działalność kawiarenek.

Jest rzeczą jasną, że w klubach-kawiarenkach nie chodzi tylko o picie kawy. Należy sobie zdawać sprawę, że młodzież wiejska nie chce podtrzymywać swojej odrębności kulturalnej i obyczajowej, pragnie zbliżenia do wzorów miejskich, w zakresie mody, *savoir vivre'u*. Młodzież ta chce mówić o malarstwie, oglądać dobre reprodukcje, poznawać muzykę z płyt i taśm, zapoznawać się z odkryciami naukowymi i techniką, chce po nowemu zaspokajać swoje potrzeby w zakresie zabawy i rozrywki. I właśnie kluby-kawiarenki ZMW przynoszą nowy model obyczajowy, stały się placówkami o zdecydowanym oddziaływaniu światopoglądowym i kulturalnym. Często słyszy się pochlebne opinie o zachowaniu się młodzieży w klubie, o tym, że podniosła się estetyka stroju, że młodzież nauczyła się obcować towarzysko. Znika też atmosfera pijaństwa, karczemnych bójek, wolny czas spędza się nie przy kieliszku, ale przy kawie. Mówi się przy tym wszystkim o pozytywnym snobizmie. Jest to zapewne racja. Jeśli bowiem mówimy o snobizmie, to niewątpliwie tu właśnie ma on pozytywny wydźwięk.

*

Podczas moich rozmów z członkami klubów-kawiarenek i w Zarządzie Wojewódzkim ZMW wypływała jeszcze systematycznie sprawa trudności programowych tych placówek. Jest to odcinek, gdzie władze zwierzchnie zrobiły do tej pory najmniej. Ani ZG ZMW, ani CRS nie pokusiły się jak dotąd o opracowanie jakiegokolwiek instruktażu, katalogów płyt, literatury czy taśmotek. Nie ma też żadnego biuletynu, gdzie byłoby można zapoznawać się z doświadczeniami innych kawiarenek. Te sprawy, jak i wiele innych drobniejszych, czekają na szybkie rozwiązanie. Kawiarenki bowiem stają się błyskawicznie istotnymi placówkami kulturalnymi i kulturotwórczymi na wsi. Rzeszowskie wiedzie tu prym pospołu z Krakowskiem, Kieleckiem i Zielonogórskiem.

PRZEGLĄD PRASY

Jeszcze raz na forum publiczne wyniesiona została sprawa Brzozowskiego. Uczynił to L. Wudzki szkicem „Jeszcze raz spór o Brzozowskiego" drukowanym w **Kulturze.** Autor „Legendy Młodej Polski" już tyle razy był przedmiotem anatem i apologii, że do ich rytmu już zdążyliśmy się przyzwyczaić. Wudzki pyta, czy rzeczywiście rola Brzozowskiego była tak złowroga, czy źle oddziaływał on na lewicową ideologię. Po przedstawieniu materiału dowodowego przeczącego tezie Stawara autor stwierdza:

„Pomogły też (pisma Brzozowskiego) wielu innych komunistom i działaczom ruchu robotniczego. Nie będę daleki od prawdy, jeśli powiem, że większa część komunistów i socjalistów polskich starszego pokolenia, rekrutującego się spośród inteligencji, przeszła przez „brzozowszczyznę"(...)

Czy Brzozowski był marksistą? W znaczeniu filozoficznym — nie. Jak nie byli w tym znaczeniu marksistami Gorki, Łunaczarski i cała tak zwana szkoła cypryjska. Ale to nie dyskwalifikowało ich w oczach Lenina jako działaczy, ani jako pisarzy. Praktycznie oddali oni ruchowi rewolucyjnemu nieocenione usługi. Oddał je również Brzozowski. Żeby to należycie ocenić, trzeba się także zapoznać z jego rozsianymi po różnych czasopismach artykułami społecznymi i politycznymi, z których każdy wywoływał żywe poruszenie(...) Bez znajomości tych artykułów, które dotychczas nie znalazły się w żadnym wydaniu książkowym, nie można sobie wyrobić zdania o Brzozowskim jako o polityku, ani ocenić jego zasług dla ruchu robotniczego".

Wystąpienie Wudzkiego otwiera nowy akt sprawy Brzozowskiego i może spowoduje, że to, co jest najcenniejsze w jego dorobku, zostanie przywrócone dzisiejszemu czytelnikowi.

Następny numer **Kultury** przynosi parę ciekawych pozycji. Zwraca uwagę artykuł W. Sokorskiego „Twórca i społeczeństwo", wspomnienie B. Czeszki o Borowskim oraz artykuł T. M. Jaroszewskiego „Filozofowie i walka ideologiczna". Autor zajmuje się tymi postawami, które hamują ideologiczną ofensywę filozofii marksistowskiej. Oto niektóre z opisanych i krytykowanych przez Jaroszewskiego postaw: koegzystencjalizm ideowy i eklektyzm, postawa defensywna — raczej chroniąca dorobek marksizmu niż podbijająca nowe tereny oraz zasada ‚kochajmy się", wskutek której filozofowie marksistowscy nie prowadzą między sobą sporów i dyskusji, wreszcie ostatni zarzut — akademickości. Polemikę z tymi postawami uważa autor za istotną dla uzyskania dynamiki światopoglądowej marksizmu.

Dyskusyjną sprawę krytyki artystycznej podjął A. Wojciechowski we **Współczesności** w szkicu „Krytyka zaangażowania". Oto parę zdań końcowych:

„W moim osobistym przekonaniu postawić należy znak równania między pojęciem krytyki zaangażowanej — a k r y t y k i o d p o w i e d z i a l n e j.

(...) Być odpowiedzialnym, kierować w sposób odpowiedzialny swym losem i swą sztuką, ponosić współodpowiedzialność za stan kultury oraz za dzieje społeczeństwa — to znaczy dawać zawsze i w każdej sytuacji o d p o w i e d ź na nasuwające się we wszystkich momentach życia nowe problemy związane z pozycją jednostki i zbiorowości. Z tej trudnej funkcji nie może zrezygnować ani plastyka, ani krytyka artystyczna, o ile nie chce być zepchnięta na pozycje biernego obserwatora. (...) Nie zawsze odpowiedź jest trafna. Trudno mieć o to pretensję do artysty i do krytyka. Na tym właśnie polega ryzyko twórczości, która samodzielnie stara się rozwiązać aktualne problemy współczesności, stając się dzięki temu ważnym czynnikiem kształtującym nowy obraz dzisiejszej cywilizacji".

Polityka trafiająca zwykle w sprawy istotne i nabrzmiałe, podjęła artykułem J. Poznańskiego „Urlopy" problem urlopów i wczasów. Autor zastanawia się, kto z wczasów korzysta, a kto nie. Wczasy ulgowe otrzymują nie zawsze ci, którzy otrzymać je powinni. FWP wykształcił w środowiskach robotniczych nawyk odpoczynku, ale teraz nie może go całkowicie zaspokoić. Powinien się przeto przestawić na zdobywanie dla wczasów nowych środowisk, z wczasów dotychczas nie korzystających. Rzeczywistość jest inna, bo w domach wczasowych FWP dominują pracownicy umysłowi, rzadkością jest pracownik fizyczny. Kieszeni państwowej nie stać na zwiększenie dopłat na wczasy ulgowe. Z drugiej strony urlopy pełnopłatne są niedostępne dla rodzin mniej zarabiających. W tej sytuacji autor proponuje, by zamiast dopłaty i zarobku na wczasach wybrać trzeci sposób: u r l o p w c e n i e k o s z t u.

W ten sposób „podstawowa grupa ludzi pracy nie znajdujących miejsca na wczasach dotowanych, a zarazem nie mająca środków na urlopy kosztowne, zyskałaby swoje tanie, acz skromnie urządzone miejsce pod problematycznym skądinąd, słońcem polskich kurortów."

A więc nowe hasło „Polityki": P o l s k a k r a j e m l u d z i w y p o c z ę t y c h.

Zajrzyjmy jeszcze na sąsiedzkie łamy **Magazynu Niedzielnego,** który jest niedzielnym wydaniem kieleckiego „Słowa Ludu". Przy okazji warto wspomnieć, że ukazuje się on w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy i wyróżnia się korzystnie dobrą robotą dziennikarską wśród innych dodatków gazet wojewódzkich.

Od pewnego czasu „Magazyn Niedzielny" drukuje bardzo ciekawy cykl publicystyczny TTTP czyli Tropem Tygodnia Twojego Powiatu. Reportażysta — Tadeusz Szwej — zajrzał m. in. do powiatu Przysucha i opisał zastaną sytuację w reportażu „Zastraszające fakty i realne szanse". Fakty wyglądają tak: Jest to powiat wybitnie rolniczy, ale to rolnictwo stoi na prymitywnym poziomie. Tylko 30 procent zboża sieje się maszynowo, a w jednej z gromad 90 proc. zbóż wysiewa się z płachty lub bardziej nowocześnie — z wiadra.

„Zachwaszczone pola, gleba wymaga natychmiastowego wapnowania. Duże połacie łąk koszone są raz do roku — a więc trzeba meliorować, zasilać nawozami. Na przedwiośniu, po srogiej tegorocznej zimie 360 krów w gospodarstwach chłopskich padło z niedokarmienia. To są skutki braku pasz, silosów, skutki wadliwej struktury zasiewów. Aż 62 proc. areału obsiewa się zbożami, głównie żytem. Uprawy pastewne obejmują tylko 5—6 proc. Kto zna się cokolwiek na rolnictwie, wie, że przy takich proporcjach daleko nie zajedzie".

Znalazł się jednak ktoś, kto postanowił tę sytuację zmienić. „Starościna" czyli przewodnicząca Powiatowej Rady Narodowej — Anna Tarnowska postawiła na warzywa, jako na główny element intensyfikacji rolnictwa. Zaprosiła kilkudziesięciu chłopów z powiatu, zamówiła autokar i zawiozła ich do warzywniczych rejonów Magnuszewa, Przybyszewa i Grójca. Zobaczyli, przekonali się, że hektar może dać 5 tys. dochodu, jak się uprawia żyto, a 50 tys. — gdy się hoduje warzywa. Czemu nie może tak być w powiecie Przysucha?

Oto przykład ile zależy od mądrej inicjatywy powiatowej władzy.

T. K.

CHWILA WSPOMNIEŃ...

(Dokończenie ze str. 3)

wody — idealnie spokojne. Wyruszyliśmy w kierunku wyspy. Cicho, bezszelestnie. Nagle rozszalał się huragan ogniowy niemieckiej broni maszynowej. Spokojna rzeka wyglądała teraz jak morze w czasie sztormu. Jeśli dobrze pamiętam, nikt nie dobrnął do brzegu wyspy na łódce. Zielone światełka oddziału ppor. Janiszewskiego, który umocnił się kilka dni temu na brzegu wyspy, wytyczały nam kierunek posuwania się. Wreszcie dobrnęliśmy do wyspy. Niezapomniany epizod. Trudno było poznać swoich żołnierzy. Pozrzucali w wodzie wszystko, ale broni nie zostawili. Przed atakiem na umocnienia niemieckie dowódca batalionu pożegnał się z nami. Nikt wtedy nie myślał o życiu. Nasza artyleria rozpoczęła 30-minutowe przygotowanie ataku. Wyspa kołysała się jak huśtawka. Mjr Rembeza z okrzykiem: „Naprzód za Polskę" poderwał się do ataku. Śmiertelnie ranny padł na ziemię. Wyspę zdobyliśmy. Byliśmy po drugiej stronie rzeki. Rozpoczęły się przygotowania do walk o Warszawę. Święto Bożego Narodzenia spędziliśmy w Zielonce. Żołnierskie święta. Wesołe, nastrojowe. Ale nikt nie myślał o życiu.

— A po zdobyciu Warszawy?

— Marsz w kierunku na Wał Pomorski.

— Brał pan udział w tych walkach?

— Tak.

— Co najbardziej utkwiło panu w pamięci z tych walk?

— Boje stoczone w Mirosławcu, Wałczu i Podgajach. Nie pamiętam, jak nazywała się ta miejscowość. Byliśmy od niej w odległości 4—5 km. W batalionie rozeszła się wiadomość, że do niewoli dostała się jedna z polskich kampanii, którą Niemcy zdrutowali i spalili żywcem w stodole. Pamiętam zacięty opór niemieckich podchorążaków w walkach o Mirosławiec. Po dwóch dniach wykurzyliśmy ich stamtąd. Po walkach o Wał Pomorski wyruszyliśmy w kierunku wyspy Wolin. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem morze. To piękne, niezapomniane przeżycie moczyć zmęczone nogi w morzu, mając świadomość, że odzyskaliśmy je po wiekach, na zawsze. Po sforsowaniu Odry — dalszy kierunek: B E R L I N. W jakiejś miejscowości letniskowej dowiedzieliśmy się, że I Dywizja weźmie udział w walkach o Berlin. Wszyscy cieszyliśmy się z tego. Oblicza promieniowały radością. 1 maja zajęliśmy pozycję wyjściową do ataku. Na przedmieściach Berlina wyrósł las luf armatnich. Strach było pomyśleć, co się będzie działo, gdy to wszystko zionie ogniem. Panowała przejmująca cisza, którą przerwał huk wystrzałów. Ziemia zakołysała się. Powietrze zapachniało skondensowaną wonią prochu. Słońce przysłaniały płachty kurzu i fale pocisków. Po godzinie rozległ się w powietrzu warkot silników samolotowych. Piechota wyruszyła do natarcia. Po zaciętych walkach o Politechnikę Berlińską, w których brała udział moja kompania, 2 maja o godzinie piątej rano padł rozkaz: „Zaprzestać ognia. Berlin poddał się". Odetchnęliśmy głęboko. Ogoleni i oczyszczeni defilowaliśmy ulicami Berlina. W każdym oknie — biała flaga. Na trotuarach tłumy kobiet i starców. Co za przejmujący kontrast: Lublin — szalał na nasz widok, Warszawa — witała nas ponurymi szkieletami budynków, Berlin — dymił, przeżywał dzień upadku zaledwie 12-letniej Rzeszy.

Rozmawiał Piotr Goch

Ale co dalej?

(Dokończenie ze str. 14)

cjach, uznałbym to przedstawienie za szczytowe osiągnięcie jednej z form teatru poezji, rozwijanej już na poprzednich przeglądach.

Tak się złożyło, że w tegorocznym przeglądzie mniej było prób eksperymentów, niż na poprzednich. Ruch teatrów poezji począł ogarniać coraz więcej zespołów, stał się popularny również w środowiskach, które nie zawsze mogą pozwolić sobie na twórcze opracowania. Toteż oglądaliśmy mniej lub bardziej poprawne formy sceniczne ograne już parę lat temu, powtórzenia i naśladownictwa odejmujące szczerość spektaklom. Zdecydowanie można było stwierdzić, że forma inscenizacji ilustracyjnej na tle innych prób wyglądała co najmniej blado. Aż dziwne, że tę formę zaprezentowały zespoły ze środowisk kulturalnie bardziej wyrobionych.

Tegoroczny festiwal miał być według regulaminu tylko przeglądem. Ponieważ jednak poszczególne województwa zaprezentowały zespoły nie zawsze najlepsze, czy najciekawsze, centralne jury postanowiło fundusze przeznaczone na upominki dla każdego zespołu przydzielić w formie nagród i wyróżnień tylko dla takich, które reprezentowały jakieś ambicje poparte wysokim opracowaniem artystycznym.

W sumie tegoroczny festiwal nie spełnił swego zadania. Nie pokazał najwartościowszych zespołów, nie pokazał buntu przeciw skostnieniu poza małymi wyjątkami i jeśli był wyrazem popularyzowania się teatrów poezji w środowiskach kulturalnie słabych, to powinien być zakończony na szczeblu przeglądów wojewódzkich. Tym bardziej, że był świadectwem upowszechnienia się wzorów najsłabszych z lat ubiegłych, łatwizny w pracy i rezygnacji z dyskusji ze społeczeństwem. Większość stanowiły koncepcje drobnomieszczańskie. Myślę, że w rozwiązanie tej sprawy na przyszłość muszą wprząc się wojewódzkie poradnie kulturalno-oświatowe. Inaczej doczekamy się szerokiego zalewu szmiry w nowatorskim wydaniu.

Zbigniew Ślączka

SUKCESY RZESZOWSKICH AMATORÓW

W AKACJE powodują jak co roku znaczne osłabienie tętna życia kulturalnego. Z tym większą satysfakcją należy odnotować poważne sukcesy, które zapisał ostatnio na swym koncie amatorski ruch artystyczny Rzeszowszczyzny. Pod koniec maja odbyła się w Jaśle wyjątkowo udana impreza, „Dni teatralne Jasła" — zorganizowane staraniem powstałego niedawno przy Związku Teatrów Amatorskich koła miłośników teatru. Wypełniły je przedstawienia amatorskich zespołów teatralnych z Jasła. Już samo zestawienie repertuaru mówi wiele o ambicjach tamtejszych teatrów ochotniczych: teatr ZZK wystawił „Śmierć Gubernatora" Kruczkowskiego, teatr „Gamratu" „Balladynę" Słowackiego, amatorzy z Huty Szkła — sztukę Szaniawskiego „Adwokat i róże", zespół PDK „Apelację Villona" Barnasia, a teatr amatorski PZGS — „Dramat Joli" Łęczyckiej.

Tak więc w geografii amatorskiego ruchu artystycznego w Rzeszowskiem Jasło zajmuje obecnie pierwszoplanową pozycję, dystansując ośrodki o znacznie bogatszych tradycjach. Pozycja ta osiągnięta została w wyniku długotrwałej, rzetelnej pracy. W tej chwili ruch artystyczny kierowany jest przez ludzi łączących wytrwałość i upór z dojrzałością ideowo-artystyczną.

Amatorzy z Jasła wykazali — wbrew kolportowym szeroko poglądom sceptyków, podającym w wątpliwość sens istnienia twórczości amatorskiej w dobie „wszechwładnej" telewizji, — że dobrze prowadzony teatr ochotniczy może działać również w „epoce telewizyjnej", wreszcie udowodnili, że teatr taki z powodzeniem może sięgać po ambitny, współczesny repertuar. Z lekcji jasielskiej powinien wyciągnąć wnioski cały artystyczny ruch amatorski w województwie rzeszowskim. A może nie tylko w rzeszowskim.

Z. W.

KSIĄŻKI NADESŁANE

PRZEZ PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Wiktor Koniecki — Jutrzejsze trosk, przełożyła Witolda Jurkiewicz, Warszawa 1962, wydanie pierwsze.

Gieorgij Władimow — Katastrofa, przełożył Jerzy Brzęczkowski, Warszawa 1962, wydanie pierwsze.

Jan Strzelecki — Niepokoje amerykańskie, Warszawa 1962, wydanie pierwsze.

Jarosław Iwaszkiewicz — Sława i chwała tom III, Warszawa 1962.

Karl Bjarnhof — Łaskawe światło, przełożyła Anna Linke, Warszawa 1962, wydanie pierwsze.

Józef Morton — Mój drugi ożenek, powieść, Warszawa, 1962, wydanie drugie.

Jane Auston — Perswazje, przełożyła Anna Przedpelska-Trzeciakowska, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.

Rzecz o Alaksynie i Nikolecie, z oryginału starofrancuskiego przełożyła Anna Ludwika Czerny, wstępem opatrzył Zygmunt Czerny, ilustrował Jerzy Skakowski, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" * Redaguje Kolegium * Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 * Telefon 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa.
Zam. 2408. 1.VII.1963 r. N-3